

# Po śnieżycy

## Historia Amy Adhi

Urodziłam się w Njarongu, w Khamie, w 1934 roku. Mój ojciec nadał mi imię Adhi. Nasza rodzina nazywała się Tape. Ojciec, Dordże Rabten, jak zdarzało się w Tybecie, był żonaty z dwiema kobietami. Starsza żona nazywała się Boczuma; ja byłam córką młodszej – Sonam Dolmy.

Ojciec był bardzo uczciwym i prawym człowiekiem. Ludzie z naszego regionu wybrali go kimś w rodzaju sędziego. Od czasu do czasu proszono go o rozstrzygnięcie sporu między zwaśnionymi stronami. Bywało, że bogatsi próbowali go przekupić, powiedzmy, podsunąć bryłkę złota, ale on zawsze sądził bezstronnie i sprawiedliwie.

Dystryktem Njarong rządził wódz imieniem Dordże Norgjal, który mianował ojca jednym ze swoich ministrów. Wtedy właśnie, doceniając jego szczerość i prawość, ludzie wybrali go sędzią. Wkrótce po moich narodzinach przenieśliśmy się jednak do Kandze, niewiele więc zapamiętałam z regionu, w którym przyszłam na świat.

W Kandze panował inny wódz, Szipaco. Dobra reputacja ojca sprawiła, że i tu powierzono mu stanowisko sędziego. Wiodło się nam dobrze, niczego nie brakowało. Nasza rodzina była *sa ma drog* – to znaczy, wypasaliśmy stada na otwartych łąkach i, jednocześnie, uprawialiśmy kawałek ziemi. Latem pędziliśmy zwierzęta w góry, w których żyli koczownicy ze swoimi jakami, a zimą wracaliśmy do pracy na naszym, całkiem sporym, polu.

Z naszego domu widać było wielką, majestatyczną, pokrytą śniegiem górę, której szczyt sięgał samego nieba. Nazywała się Njate Khalori. Otaczały ją jeziora i gęste lasy, w których roiło się od dzikich zwierząt: tygrysów, brązowych niedźwiedzi, jeleni i wielu, wielu innych gatunków. To był taki piękny kraj. Dziś jest zamknięty dla cudzoziemców i nie może tu przyjechać nikt z zewnątrz.

Ten region Kandze nazywał się Lobasza. Zjeździłam cały Kham i uważam, że jest to najpiękniejsza kraina tej prowincji. Nasze równiny i przełęczce przemierzali koczownicy z ogromnymi stadami kóz, owiec i innych zwierząt. Wiosną łąki pokrywały się cudownym kobiercem kwiatów, które rozkosznie pieściły bose stopy.

Najbardziej pamiętam właśnie lato, które zawsze spędzaliśmy wśród nomadów. W czwartym miesiącu naszego kalendarza łąki eksplodowały czerwienią, bielą, błękitem i żółcią. Kwiatów było tyle, że wielu nie potrafiłam nawet nazwać. Wyruszyliśmy wtedy w góry z namiotami. Jeden przeznaczony był dla mnichów, którzy odprawiali w nim *puđe*. W pozostałych mieszkali koczownicy i my, *sa ma drogowie*. Młodzi zakładali najlepsze ubrania i ozdoby – bransolety i kolczyki – i tańczyli do upadłego. Chłopczy i dziewczęta przekomarzali się, śpiewając na zmianę zabawne kuplety.

Mój ojciec lubił się bawić. Kochał *czang*, tybetańskie piwo, i dobre pieśni. Nasz region słynął z koni, mężczyźni często urządzali więc wyścigi i rozmaite zawody. Jedną z dyscyplin polegała na zbieraniu z ziemi *khata*, białych szarf, w pełnym galopie. Inna, znacznie trudniejsza, na zeskakiwaniu z pędzącego konia i niemal natychmiastowym wskakiwaniu na siodło. Mój brat, ponadosiemdziesięcioletni dziś Dzuguma, uwielbiał to robić. Po wyścigach strzelało się do tarczy.

Kiedy wspominam te chwile, stają mi przed oczami groźne, ośnieżone góry, łagodne stoki upstrzone kropeczkami owiec, kóz i jaków, twarze ludzi, delikatne kwiaty i dumne wierzchowce – i wiem, że był to najszcześniejszy okres mego życia. Snując tę opowieść, mam wrażenie, że znów wszystko to widzę.

Dziś uderza mnie to, że kiedy zasiadaliśmy do jedzenia i picia, zrywali do tańca lub siodła, było w nas tyle spokoju. Rozkoszowaliśmy się wolnością. Każdy mógł robić, co chciał. W naszym kraju

zabójstwo budziło odrazę – szanowaliśmy więc życie bliźnich i nie popełnialiśmy przestępstw. Wokół pełno było klasztorów, świątyń i pustelni.

Rankiem pędziliśmy zwierzęta – jaki, *dri*, *dzo* i *dzomo* – na łąki, z których zabieraliśmy je wieczorem. Najwięcej pracy miałam właśnie rankiem. Doiłam *dri*, gotowałam mleko, ubijałam masło, robiłam jogurt. Reszta dnia upływała na zabawie, jedzeniu i żartach.

Moja matka, Ama Sonam Dolma, nigdy nie wpadała w złość. Jak już wiecie, ojciec miał dwie żony. Z reguły decydowano się na takie rozwiązanie w przypadku siostr, które, naturalnie, nie wchodziły sobie w drogę. U nas było inaczej, ale matka tak ułożyła sobie życie z pierwszą żoną, że ludzie powiadali, iż ich przyjaźń jest lepsza od siostrzanej miłości. Były sobie tak bliskie, że nawzajem karmiły piersią swoje dzieci.

Kiedy pierwsza żona zaczęła się starzeć, matka nie pozwalała jej pracować. Całymi dniami siedziała więc na łóżku i bawiła się z dziećmi.

W domu byłam najmłodsza. Pierwsza żona, Boczuma ciągle powtarzała: „Przecież to moje dziecko. Chodź nakarmię cię piersią”. Była mi bardzo droga. Pamiętam, że długo wydawało mi się, że jest moją prawdziwą matką. Dopiero później zorientowałam się, że było inaczej.

Kiedy ukończyłam osiemnaście lat, wydano mnie za męża. Wszystko zaaranżowali rodzice. Choć przyszli małżonkowie mogli się w ogóle nie znać, o owych planach rozprawiał cały dom. Ktoś pewnie zasugerował: „Wasza córka powinna iść za chłopaka z tej rodziny”, a rodzice podchwycili to i tyle.

Czy pytano mnie o zdanie? U nas rodzice mówili tylko: „Zdecydowaliśmy i daliśmy słowo”. Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, żeby kwestionować ich wybór. Pamiętam, że obie matki mówiły jednym głosem: „Czas na ślub i przeprowadzkę do męża. Nie możesz zostać tu na zawsze. Starszy brat ma żonę i gromadę dzieci. Jeżeli nie chcesz iść za męża, musisz przyjąć śluby zakonne. Wtedy będziesz z nami”. Cóż, pomyślałam sobie, że jeśli zostanę mniszka, nie opuszczę rodziny, ale będę musiała się pożegnać z pięknymi strojami i biżuterią.

Tradycja każe, by panna młoda, jadąc konno do domu męża, gdzie wszyscy bawią się i tańczą przez trzy dni, miała na sobie najrozmaitsze ozdoby, wspaniałe diadem i piękne szaty. Następnie wraca się do rodzinnego domu, w którym odbywa się druga część zaślubin. Po ceremonii młoda żona może spędzić ze swoimi bliskimi jeszcze sześć lub dwanaście miesięcy, by wreszcie przenieść się na stałe do męża.

Mój mąż pochodził z dobrej rodziny i był szalenie przystojny. Obawiałam się jednak jego krewnych, sądząc, że nie zastąpią mi ojca i matek. Jeśli idzie o status i majątek – nie było między nami żadnych różnic. Oni też mieli stado i uprawiali swoją ziemię. Stało na tym, że przeprowadziłam się do męża. Pierwszy rok nie był najszczęśliwszy, gdyż nikogo tam nie znałam. Czasem popłakiwałam po katedach, zadręczając się wspomnieniami o ojcu, matkach i rodzinnych stronach.

Mój mąż nazywał się Paczen. Był nie tylko przystojny, ale i delikatny. Ilekroć zauważył, że płaczę, pocieszał mnie, mówiąc: „Nie bądź smutna. Jeśli tęsknisz za swoimi, pojedź do nich, kiedy tylko zechcesz”.

Mąż mieszkał w tym samym regionie, o jakieś dwie godziny jazdy od mego rodzinnego domu. Latem nasze rodziny zakładały jedno obozowisko i wspólnie wypasały stada. Zimą odwiedzaliśmy moich rodziców albo któreś z nich mieszkało u nas. Nigdy nic nas nie poróżniło.

\*\*\*

Byłam już nastolatką, gdy w Kandze pojawili się pierwsi Chińczycy. Nigdy wcześniej nie widziałam chińskiej twarzy. Zawsze się bałam, że mnie porwą. Maszerowali w długich kolumnach, a dowódca dosiadał konia. Budzili we mnie lęk i grozę. Pamiętam, że chowałam się za którąś z matek lub ojcem. Starsi straszili dzieci, powiadając, że jeśli będą niegrzeczne, to oddadzą je Chińczykom. Trudno się dziwić, iż ilekroć się pojawiali, uciekaliśmy gdzie pieprz rośnie.

W owym czasie Chińczycy mieli srebrne monety, nazywane *da jangami*. Czasami podsuwali je nam, mówiąc: „Nie bój się, chodź, to dla ciebie”, ale ja nigdy się na to nie odważyłam. Dawali więc pieniądze rodzicom, prosząc, by kupili mi coś słodkiego.

Chińczycy zachodzili czasem do naszego domu i widzieli, że rodzice modlą się, odliczając paciorki różańca lub obracając młynki modlitewne. W tym czasie zachowywali się jeszcze tak, jakby darzyli naszą wiarę najwyższym szacunkiem. Ciągłe o coś wypytywali i zapewniali, że oni też „miłują religię”.

Jeden z drugim obracał nawet młynki modlitewne lub, na znak szacunku, dotykał czołem nasze posągi. Na widok ołtarza, relikwii i malowideł niektórzy, w ślad za nami, składali wręcz pokłony.

Budziło to powszechne osłupienie i niektórzy uznali, że Chińczycy faktycznie skłaniają się ku religii. Ale mój ojciec ciągle powtarzał, że tylko udają i grają, by zrobić na nas dobre wrażenie. Dziś wiem aż za dobrze, że to on miał rację.

Chińczycy opowiadali też o Mao Zedongu – „wielkim przywódcy i ojcu ludu, którego celem jest niesienie ulgi wszystkim cierpiącym” – systematycznie sącząc krople jadu swojej propagandy. „Mao – powiadali – przysłał tu nas, żołnierzy Armii Ludowo-Wyzwoleniczej, by rozwiązać wszystkie problemy ludu”. „Jesteśmy tu tylko gościnnie”, zapewniali. Posuwali się do tego, że pomagali nam nosić wodę, żać i młócić.

Przynosili też, garściami, te swoje srebrne monety do klasztorów, zapewniając o poparciu Chin dla buddyizmu: „Przewodniczący Mao miłuje religię. Oto nasz datek dla waszej świątyni”.

Jeden z moich braci miał pistolet i stary muszkiet. Pamiętam, że Chińczycy zachwycali się jego „uzbrojeniem” i dawali mu nawet amunicję. Nigdy jednak nie wywiedli w pole mego ojca, który powtarzał:

- Wierzcie mi, nie ma w tym nic dobrego. To wszystko oszustwo. Starają się wkraść w nasze łaski, zdobyć zaufanie. Jestem przekonany, że dobrze nam nie życzą.

Ojciec znalazł się w grupie dostojników, których zaproszono do złożenia wizyty w Chinach, by na własne oczy przekonali się o „postępie” i „dostatku”. Ojciec wrócił z tej wycieczki wściekły. Powiedział, że nie zobaczył nic dobrego i upewnił się, że Chińczycy tylko nas zwodzą, mając jak najgorsze zamiary wobec Tybetu.

Opowiadał nam, że widział wielu aresztowanych nacjonalistów z Kuomintangu, których wywożono gdzieś na ciężarówkach. Był też świadkiem egzekucji. Na plac przywieziono więźniarki, które były tak przerażone, że nie mogły stać o własnych siłach. Strzelano do nich z karabinów maszynowych.

W tym czasie sprzedawano już liczne posągi i malowidła, zrabowane z chińskich klasztorów buddyjskich. Wielu Tybetańczyków jeździło po nie do zachodnich Chin. Ojciec był temu przeciwny. Uważał, że nie ma to żadnego sensu, bo owe relikwie i tak zaraz wpadną znów w łapy Chińczyków. Ludzie kupowali je jednak czy to na handel, czy to na własne ołtarze. Nie słuchali ojca. Nie wierzyli, że Chińczycy zgotują tybetańskim klasztorom taki sam los, jak własnym świątyniom. Kiedy zaczęło się plądrowanie i naszych ołtarzy, wielu mówiło: „Trzeba nam było słuchać przestróg Dordże Rabtena”.

Tak więc wkroczenie Chińczyków do Tybetu napawało ojca ogromnym niepokojem. Wszyscy, którzy pojechali z nim do Chin, wrócili z portretami Mao Zedonga i wąsatego Stalina. Chińczycy wręczali je z prośbą o zawieszenie w domach. Ojciec oświadczył, że nie będzie wieszać na ścianach zdjęć złych ludzi i polecił je spalić.

Wkrótce po powrocie ojciec zapadł na zdrowiu. Może za sprawą upału, może coś mu tam dali, w każdym razie dostał okropnej biegunki. Chińczycy próbowali go leczyć w swoim szpitalu, ale on nie chciał zażywać ich leków. Kiedy siedzieliśmy przy jego łóżku, zjawiał się czasem lekarz z jakimiś tabletkami lub miksturami, ale ojciec nawet ich nie dotykał.

Nie było mnie przy nim, gdy umierał. Brat powiedział mi, że jego ostatnie słowa brzmiały: „Nie ufajcie Chińczykom. Przyszli tu, by nas zniszczyć. Zniszczyć cały kraj. Róbcie, co w waszej mocy, by ocalić Tybet przed zagładą”. To była jego pożegnalna rada. Miałam wtedy dwadzieścia lat.

Po śmierci ojca Chińczycy budzili w nas jeszcze gorsze uczucia. Mąż miał w Lhasie wielu przyjaciół i postanowił pojechać do stolicy, by poinformować rząd o poczynaniach komunistów.

Zastawialiśmy się nawet nad przeprowadzką do Lhasy, ale ludziom mówiliśmy, że wybieramy się na pielgrzymkę do Buddy ze świątyni Dżokhang.

Przed wyjazdem urządziliśmy pożegnalne przyjęcie, podczas którego mój mąż został otruty. Nie wiedzieliśmy, kto to zrobił – przyszło mnóstwo ludzi – niemniej wsypano mu do jedzenia truciznę. Wszyscy podejrzewali Chińczyków, ale nie mieliśmy pewności. Wiedzieliśmy tylko, że zerwał się od stołu i zmarł w męczarniach, zanim zdążyliśmy zawieźć go do lekarza. Osobiście jestem przekonana, że Chińczycy przystali kogoś, żeby go otruć, ale, jak powiedziałam, nie mogę mieć pewności.

Mój mąż zmarł w 1957 roku. Zostałam z dwuletnim synem i córką, którą nosiłam jeszcze pod sercem.

\*\*\*

Chińczycy powołali komitet, do którego zaprosili przedstawicieli najbogatszych rodzin, starszych, arystokrację oraz najważniejszych lamów i mnichów z okolicznych klasztorów. Kiedy wszyscy zebrali się w siedzibie sztabu okręgu Kandze, budynek otoczyło wojsko. Wartownicy nie pozwolili nam nawet na przynoszenie jedzenia.

Dopiero wtedy wszyscy zrozumieli, że Chińczycy naprawdę mają złe zamiary. Cały ten „komitet” okazał się pretekstem do faktycznego uwięzienia naszych przywódców, a „obrady” – natrętną indoktrynacją pod hasłem: „Partia komunistyczna jest wielka, Mao Zedong jest wielki, nasza polityka jest słuszna”.

Pewnego dnia zaczęli odbierać srebrne monety! Chodzili od klasztoru do klasztoru, domagając się zwrotu pieniędzy, które wcześniej przynieśli. Rozmowa była krótka: „Nie oddacie, pójdziecie siedzieć”. Wydaje mi się, że miało to też związek z wymianą pieniędzy – chińskie monety zastępowano wówczas banknotami. Ogłoszono nawet, że każdy, kto spróbuje płacić srebrem, zostanie ukarany.

Wkrótce potem polecono nam oddać broń i amunicję. Chińczycy obwieścili, że robią to „dla naszego dobra, żebyśmy ze sobą nie walczyli”. „Jesteśmy tu, aby was chronić – tłumaczyli. – Jeżeli pojawi się zagrożenie zewnętrzne, obronimy was. Nie potrzebujecie więc amunicji ani broni. Jeśli ją zatrzymacie, skierujecie ją przeciwko sobie nawzajem”.

Wszystko to, ma się rozumieć, nikogo nie ucieszyło. Najpierw nasi przywódcy znaleźli się pod kluczem. Potem odebrano nam srebro i zastąpiono je papierem, wreszcie kazano oddać broń – nie tylko karabiny i naboje, ale i tradycyjne miecze. Wielu mężczyzn uznało, że tego już za wiele, i zamiast zdać broń, ruszyło w góry, by zacząć walczyć.

Skończyło się na tym, że w górach ukryła się niemal połowa – męska, uzbrojona – populacji. Nie tylko nie chcieli oddać broni, ale zamierzali jej użyć.

Chińczycy „zwolnili” wtedy kilku przywódców – każdemu towarzyszyło co najmniej dziesięciu żołnierzy – i kazali im wezwać mężczyzn do powrotu: „Nie ma po co walczyć. Oddajcie broń. Nie zagrażają nam żadni wrogowie zewnętrzni. Zejdźcie w doliny i zdajcie broń”. Początkowo Chińczycy próbowali więc uspokoić mężczyzn, wykorzystując do tego naszych przywódców, których w normalnych okolicznościach wszyscy by posłuchali.

Nie zdało się to jednak na nic. Chińczycy zmienili więc strategię i zrobili z naszych przywódców zakładników. Zgotowali im publiczne procesy, wiece, nazywane *thamzingami*, podczas których lżyli, bili i torturowali. Spędzali ludzi z całego regionu, tysiące osób, i na ich oczach upokarzali naszych lamów.

Duchownych wiązano, kneblowano szmatami i zmuszano do ukłęknięcia. „Praktykowaliście religię, wykorzystywaliście ją do oszukiwania ludzi”, ryczeli oprawcy, usiłując zmuszać mnichów do picia moczu chińskich funkcjonariuszek. Kiedy zaciskali usta, chlustano im uryną w twarz. „Jeżeli nie wróćcie, zabijemy tych lamów”, brzmiało przesłanie dla mężczyzn w górach.

Nietrudno wyobrazić sobie, jak reagowali na to spędzani ludzie. Zaszokowany tłum zanosił się płaczem i protestował. Tych, którzy oponowali najgłośniej, natychmiast wtrącano do więzień.

Te pierwsze publiczne akty gwałtu wprawiły nas w głębokie przygnębienie. Nocą zawsze ktoś wymykał się w góry, by przekazać najnowsze wiadomości. „Nie poddawajcie się – prosiliśmy bojowników. – Teraz, gdy wiemy już czego chcą Chińczycy, lepiej umrzeć niż złożyć broń”.

Nocami mężczyźni atakowali chińskie posterunki. Najpierw wysyłali zwiadowców, a później przypuszczali atak. Następnego ranka dowiadywaliśmy się, że zginęło dziesięciu lub dwudziestu Chińczyków. Innym razem mówiło się o śmierci dziesięciu Tybetańczyków. I trwało to tak przez dwa, trzy lata od 1955 roku.

W naszym regionie jest wielki płaskowyż, nazywany Bonatho. Mężczyźni ukrywali się w otaczających go górach. Z czasem Chińczycy zaczęli używać samolotów i bombardować leśne obozy bojowników. Robili to na oślep, ale bardzo systematycznie. Ta strategia okazała się niezwykle skuteczna. W końcu wybili niemal połowę naszych, którym zaczynało brakować amunicji. Kiedy nie było już czym strzelać, mężczyźni niszczyli beużyteczną broń, by nie wpadła ona w ręce Chińczyków.

Khampom pozostały tylko tradycyjne metody walki i długie miecze. W 1957 roku na Bonatho stoczono słyną bitwę, w której poległo wielu Tybetańczyków, rzucających się z mieczami na uzbrojonych w karabiny wrogów. Nasze miecze były długie na metr. Znajdowano potem zabitych, których dłonie były tak zaciśnięte i scalone krwią z rękojeścią, że nie dawało się rozewrzeć palców.

Zginęli niemal wszyscy Tybetańczycy, którzy wzięli udział w tej bitwie. Przeżyła tylko garstka rannych. Wielu nie chciało iść do niewoli. Uważali, że lepiej pójść w walce niż cierpieć pod chińskimi rządami. Kiedy ucichł zgiełk, nad wzgórzami pojawiły się setki sępów. To była największa, decydująca bitwa w Kandze.

Chińczycy zabrali rannych do szpitala i zaczęli ich leczyć. Szło im jednak tylko o wyciągnięcie informacji. Najbardziej chcieli wiedzieć, kto dostarczał bojownikom żywności i informacji. Usiłowali przesłuchiwać nawet konających, do ostatniej chwili. Kiedy uznali, że wiedzą już wszystko, pozwalali im umrzeć.

Liczba ludności w naszym regionie gwałtownie spadła. Większość mężczyzn zginęła w górach, a reszta gniła w więzieniach. Aresztowano też tych, których uznano za winnych pomagania bojownikom.

Chińczycy zebrali wszystkich żebraków i zaczęli dawać im pieniądze, jedzenie, ubrania, tytuły i wreszcie rewolwery. Bezustannie ich indoktrynowali: „Wpadliście w nędzę, bo klasztory i posiadacze odebrali wam cały dobytek. Jesteście takimi samymi ludźmi, jak oni. Teraz macie ojca, Mao Zedonga. Jesteśmy z wami, nadszedł więc czas pomsty”.

Część żebraków zdawała sobie sprawę, że Tybet ginie i czuła się Tybetańczykami. Ci przyjmowali jedzenie, pieniądze, broń i stanowiska, ale w głębi serca nienawidzili Chińczyków. Po prostu udawali. Ale inni dali się złapać na lep chińskiej propagandy. Wcześniej musieli żebrać dosłownie o wszystko, nawet o jedzenie, a teraz poczuli się ważni. Za chińskie tytuły, strawę i uniformy gotowi byli zrobić wszystko.

Chińczycy zaczęli organizować nowe wiece i parady, tym razem pod hasłem „bezużyteczności religii”. „Od dziś nie wolno wam oddawać się praktykom buddyjskim – ogłosili. – Nie będziecie nosić różańców ani recytować mantr”.

Nowa kampania wymierzona była przede wszystkim w naszych mnichów i mniszki. „Od dziś nie wolno wam nosić zakonnych szat – usłyszeli. – Macie się normalnie ubierać i założyć rodziny”.

Niektórzy, z reguły najmłodszy, uginali się, ale większość zmieniła tylko szaty na świeckie ubrania. Chińczycy zmusili grupkę chłopców i dziewcząt do ogolenia głów i zrobili z nich „wzór” dla duchownych. „Patrzcie – powiadali – to byli kiedyś mnisi i mniszki, ale teraz się pobrali. Macie pójść w ich ślady. Dlaczego się ociągacie? Jeżeli nie założycie rodzin, skończycie w więzieniach albo w piachu”.

Pamiętam sędziwego mnicha, który odebrał sobie życie. Zanim się powiesił, napisał list: „Nie pozwalają nam praktykować religii, a ja pragnęłam w życiu tylko tego. Wolę umrzeć niż zdeptać swoje śluby”. Prosił też o błogosławieństwo Jego Świątobliwości Dalajlamy.

Wszystko stanęło na głowie. Czuliśmy się obco w świecie, w którym nikt nie nosił zakonnych szat. Klasztory opustoszały. Wszystkie posągi i thangka wywieziono do Chin. Niektóre świątynie zmieniono w więzienia.

Pozostała nas garstka – głównie starcy i dzieci. Reszta zginęła lub dogorywała w więzieniach. Byliśmy przerażeni i przygnębieni. Mogliśmy tylko płakać.

\*\*\*

Kiedy Chińczycy popełniali wszystkie te zbrodnie, zorganizowała się grupa kobiet, które starały się śledzić poczynania komunistów, przekazywać informacje i nawoływać do walki. Należałam do niej. Mówiliśmy ludziom: „Niszczą naszą religię. Niszczą nasz naród i nasz kraj. Zaraz będzie tu ich tylu, że nie zostanie nam nic”.

Spotykałyśmy się w różnych miejscach, potajemnie, najczęściej nocą. Ustawiłyśmy plan przekazywania żywności bojownikom. Przesłałyśmy im informacje o tym, co dzieje się po chińskiej stronie. A przy tym musiałyśmy jeszcze zajmować się własnym życiem.

Ta grupa zrodziła się spontanicznie, w gronie przyjaciółek. Rozmawiałam z osobami, które były mi bliskie, a one z kolei zwracały się do swoich przyjaciółek. I tak to rosło. Kiedy jednej z nas udało się zdobyć jakąś ważną informację, mówiła o tym zaufanej osobie, a ta przekazywała ją następnym. W ten sposób umawiałyśmy się też na spotkania.

Było nas pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt, najbardziej godnych zaufania. Każdą starannie sprawdzałyśmy, nim dopuszczono ją do tajemnicy. Musiałyśmy uważać choćby na te zbyt gadatliwe, które mogłyby nas wydać przez przypadek. Większość pochodziła ze średniozamożnych rodzin rolniczych lub półkoczowniczych.

Musiałam być szczególnie ostrożna, bo moja rodzina była bardzo znana, a więc automatycznie budziła podejrzliwość Chińczyków. Ale innym udawało się zdobywać wartościowe informacje. Kręciły się koło więzień, lokalizowały posterunki, liczyły żołnierzy, sprzęt wojskowy i zatrzymanych. Innymi słowy, bezustannie szpiegowali Chińczyków. Podczas nocnych spotkań wymieniałyśmy się informacjami.

Nie były to regularne zebrania. Jeżeli działo się coś ważnego, powiedzmy, komuniści przygotowywali nową operację, spotykałyśmy się natychmiast. Kiedy było spokojniej, nie widywałyśmy się tydzień albo dłużej.

W 1956 roku Chińczycy zamęczyli na śmierć wielu lamów. Wszyscy ważniejsi duchowni byli już za kratami. Torturowano ich, wieszając głowę w dół ze związanymi na plecach rękami. Ofiary umierały, dusząc się własnymi wymiocinami i śluzem.

W 1957 wywieźli do Chin wszystkie przedmioty kultu religijnego – od najmniejszych wizerunków po największe posagi. Klasztory zamknięto lub zmieniono w więzienia.

Chciałyśmy się dowiedzieć, kto za tym stoi. Kto wydaje rozkazy oprawcom. Udało się nam to ustalić i wysledzić kwaterę *xianzhanga*, komisarza i głównego administratora regionu. Przekazaliśmy te informacje w góry, do mego szwagra Pemy Gjalcena, który dowodził oddziałem bojowników. Wkrótce potem zaatakowali. Zginął komisarz i jego dwóch przybocznych.

Po tym incydencie Chińczycy dali nam odetchnąć. Ludzie nie posiadali się z radości, że w końcu zabito tę kanalię.

Nasza działalność wiązała się z ogromnym ryzykiem. Schwytnie jednej z nas mogło oznaczać poważne problemy dla wszystkich. Wiedziałyśmy, że Chińczycy będą torturować każdą zatrzymaną i że w końcu wydobędą z niej prawdę. Następne aresztowania musiały być tylko kwestią czasu.

Podczas spotkań wystawiałyśmy strażę. W tybetańskich domach na parterze trzyma się zwierzęta, a ludzie mieszkają na piętrze. Zastanawiałyśmy okna czarnymi kotarami i paliłyśmy tylko kilka lampek. Kiedy w pobliżu pojawiał się chiński patrol, zapadała śmiertelna cisza.

Zdałam sobie sprawę, że Chińczycy zaczynają mnie podejrzewać. W tym czasie codziennie kogoś aresztowali. Bojownicy w górach tracili coraz więcej ludzi. Czułam, że wkrótce przyjdą po mnie.

Bałam się nie tyle o siebie, co o dzieci. Synek był małej, córeczka jeszcze mniejsza. Kiedy śniło mi się, że zabierają mnie Chińczycy, budziłam się przerażona myślą o dzieciach. Gdybym była sama, nie miałabym nic do stracenia. Myśl o tym, co stanie się z dziećmi, nie dawała mi spokoju. Nie potrafiłam się od niej uwolnić.

Powtarzałam moim towarzyszkom, że musimy być gotowe na aresztowanie i odpowiedzialne. Że jeżeli któraś z nas zacznie mówić, ucierpimy wszystkie. Często rozmawiałyśmy o zabitych, uwięzionych, torturowanych. Obiecałam, że jeśli trafię za kraty, wezmę na siebie całą winę i nikogo nie wydam. Pamiętam, że na koniec wszystkie się popłakałyśmy.

Mój brat Uczo był jednym z przywódców, których zatrzymano przy okazji powołania chińskiego „komitetu”. Pewnego dnia komuniści obwieścili, że zostanie stracony. Uważali, że miał związek z zamachem na komisarza okręgu.

Uczo Tape był bardzo zdolnym, inteligentnym człowiekiem. Kiedy Pema Gjalcen dowiedział się, że Chińczycy wydali nań wyrok, opuścił kryjówkę w górach i poszedł z czterema uzbrojonymi po zęby Khampami na chiński posterunek.

- To ja zabiłem waszego dowódcę – powiedział. – To ja atakowałem wasze oddziały. Uczo Tape nie miał z tym nic wspólnego i o niczym nie wiedział. Jeżeli macie kogoś karać, jeżeli macie kogoś stracić, to mnie, a nie jego.

Nie muszę mówić, że Chińczycy byli wniebowzięci. Natychmiast go skuli i zamknęli. Wszędzie trąbili, że Pema Gjalcen się poddał i że inni powinni pójść w jego ślady. Uczo nie został stracony, ale też nie wyszedł na wolność.

Na początku 1958 roku było już jasne, że przegraliśmy wojnę z Chińczykami. W górach walczyła garstka bojowników. Inni nie żyli lub gnili w więzieniach. W dolinach aresztowano lamów i krewnych bojowników. W domach zostali starcy, kobiety i dzieci.

Mieszkałam na stoku góry Drice w *ba*, czyli namiocie koczowników. Pewnego ranka zaczęły szczekać nasze psy. Ubierałam właśnie synka w *czubę*. Córeczka jeszcze spała. Wyjrzałam z namiotu i zobaczyłam grupę uzbrojonych policjantów i funkcjonariuszy w cywilnych ubraniach. Wśród cywili był Tybetańczyk, który służył kiedyś w naszym domu, a potem dostał jakieś stanowisko od Chińczyków. W sercu pozostał jednak prawdziwym Tybetańczykiem. Wszedł do środka i przytulił mego synka. Zobaczyłam, że płacze, i zrozumiałam, że to już koniec.

- Pójdiesz z nami – powiedział jeden z policjantów.

Zapytałam, dokąd.

- Do klasztoru Drice – odparł, a to mogło oznaczać tylko aresztowanie.

Serce podeszło mi do gardła.

- Nie chcę nigdzie iść – powiedziałam. – To jest mój syn, a tam śpi moja córeczka. Nie mają nikogo poza mną, nie mogę ich zostawić.

Wtedy uderzył mnie w głowę, w prawe ucho. Do dziś ledwie na nie słyszę. Upadłam. Zaczęli mnie kopać i okładać kolbami. Potem związali ręce na plecach.

Mój synek płakał i krzyczał:

- Mamo! Mamo! Zostawcie moją mamę!

Wtulił się we mnie z całej siły, jakby chciał mnie zatrzymać. Policjant kopnął go tak, że poszybował na drugi koniec namiotu, ale zerwał się i znów do mnie przywarł. Kopali go, a on wracał, raz za razem.

Podnosili mnie, bili, padałam, podnosili, bili, ale ja się zapierałam i nie dawałam wyprowadzić. W końcu wywlekli mnie z namiotu. Mój synek biegł obok, czepiając się mojej czuby, płacząc i krzycząc, a oni kopali go, bili i odpychali.

Wszyscy mieszkańcy obozowiska wylegli z namiotów i błagali Chińczyków, żeby pozwolili mi zostać z dziećmi. Zdążyłam się odwrócić i spojrzeć na moją córeczkę, która obudziła się i uśmiechała promiennie, myśląc, że mama wymyśliła jakąś nową, wspaniałą zabawę.

A potem widziałam już tylko mego synka. Ostatni raz. Niknącą w oddali, zapłakaną maleńką figurkę w żółtej czubie.

\*\*\*

Klasztor Drice, leżący o jakiś kilometr od miejsca, w którym mnie aresztowano, obrócono w więzienie i posterunek policji. Przez całą drogę wleczono mnie po ziemi, bo nie chciałam iść.

Kiedy dotarliśmy do klasztoru, policjanci poskarżyli się oficerowi, że byłam oporna i nie chciałam z nimi iść. Ten uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Skoro jest taka silna, to niech posmakuje tego.

Wepchnęli mnie do celi i zawiesili pod powałą za skrępowane na plecach ręce. Zaczęłam dławić się śliną. A potem wszystko zbladło, zawirowało i wreszcie straciłam przytomność.

Kiedy się ocknęłam, byłam już w innym pomieszczeniu pełnym chińskich policjantów. Postanowili zabrać mnie do Kandze. Protestowałam i mówiłam, że nie mogę zostawić dzieci, ale przywiązali mnie do siodła.

W Kandze zaprowadziła mnie do celi chińska strażniczka. Odebrała mi pas, sznurowadła i wstążki – wszystko, na czym mogłabym się powiesić. Nie było okien. Drzwi miały wielki, zgrzytający zamek. W celi były cztery kobiety. Wszystkie widziałam po raz pierwszy. Stały na baczność, każda w swoim kącie. Honorowe miejsce, pośrodku celi, zajmował kibel, cuchnące wiadro.

Żadna z kobiet nie odezwała się do mnie, bo więźniom nie wolno było rozmawiać. W nocy usiłowałyśmy spać. Okryłam głowę czubą i próbowałam zasnąć, ale leżałam przy drzwiach na korytarz, którym ciągle ktoś chodził.

I nagle w lewym, zdrowym uchu usłyszałam płacz dziecka. Odchodziłam od zmysłów. Kiedy przysypiałam, natychmiast budził mnie potworny strach o dzieci. Przez trzy następane dni myślałam tylko o tym, co robią i kto się nimi zaopiekował. Bez przerwy.

Trzeciego dnia wywołano mnie z celi. Zaprowadzono mnie do pomieszczenia, w którym siedział już oficer, czterech policjantów i tybetański tłumacz.

- Wszystko nam teraz opowiesz – zaczęli. – Ze szczegółami. Twoje dzieci zostały bez opieki. Jeśli powiesz prawdę, całą prawdę, będziesz mogła do nich wrócić. Jeżeli będziesz milczeć, nigdy już nie zobaczysz swojego domu. Wiemy, że stałaś na czele kobiecej organizacji podziemnej. Chcemy znać wszystkie nazwiska. Jeśli je podasz, jutro będziesz w domu. Z dziećmi. Powiedz prawdę, a dobrze na tym wyjdiesz. Pamiętaj o dzieciach. Nie będziesz gadać, pójdiesz pod mur.

Wkrótce miałam się przekonać, że najbardziej lubili straszyć egzekucją. Przesłuchanie wlokło się w nieskończoność. Powtarzałam, że nikt mi nie pomagał. Robiłam to, co robiłam, bo nienawidziłam Chińczyków za to, że otruli mi męża i odebrali ojca. Za całe zło, jakie wyrządzili Tybetańczykom. Moich przyjaciół nie obchodziło to, co o was myślę. To moja prywatna zemsta.

Usłyszałam, że jeśli nie chcę mówić teraz, to mogę jeszcze wrócić do celi i wszystko sobie przemyśleć. Powtórzyli, że po podaniu nazwisk natychmiast wrócę do dzieci. Alternatywą była egzekucja.

Odesłali mnie do celi. Zaczęłam się zastanawiać. Co będzie, jeśli wskażę im tylko jedną osobę? Odpowiedź była prosta: czeka ją to, przez co sama teraz przechodzę. Moje towarzyszki też miały dzieci i rodziny. Pamiętałam, iż dałam im słowo, że nikogo nie wydam. Podjęłam decyzję: niech się dzieje co chce – niczego nie powiem. I przyznam się do tego, o co mnie oskarżają.

\*\*\*

Jakiś tydzień później drzwi celi otworzyły się i zaprowadzono mnie do tego samego pokoju. Oficer natychmiast zapytał, czy przemyślałam swoją decyzję.

Odparłam, że wiele o tym myślałam i nie mam nic do dodania. Nie potrafię podać żadnych nazwisk i nie będę ich teraz wymyślać. Wtedy skuli mi ręce i zaczęło się bicie. Kopali tak, że sińce nie schodziły miesiącami. Do tej pory mam kłopoty z chodzeniem. Kiedy skończyli, zawlekli mnie do celi i kazali „myśleć” dalej.

Tym razem mnie nie rozkuli. I tak już miało zostać. Trudno mi było jeść, pić, a nawet korzystać z wiadra.



Jedna z więźniarek, Lhaga, pomagała mi jeść. Kiedy dawali nam *campę*, ugniatała ją dla mnie, choć wyraźnie zakazano nam pomagania współwięźniom. Gdy musiałam do wiadra, podnosiła mi poły czuby. Mieszka teraz w Dharamsali, jest mniszka, medytuje w odosobnieniu. Kiedy się tu spotkałyśmy, wszystko to stanęło mi przed oczami...

W więzieniu Kandze przesłuchiowano mnie co najmniej raz na tydzień. Kiedy uznali, że nie złamię mnie zwykłym biciem, zrobili się bardziej kreatywni. Najgorsze było wbijanie bambusowych drzazg pod paznokcie. Do końca, aż wyszły u nasady. Bolało tak, że chciało się wyć. Wbijając te przekłete drzazgi, ciągle pytali o nazwiska i grozili, że to dopiero początek.

Nie potrafię policzyć, ile takich sesji przeszłam w Kandze. Zawsze ranili ten sam palec, który zmienił się w otwartą, zaognioną, ropiejącą ranę. Wskazujący, lewej ręki. Ten ból ciągle mi dokucza, a palec jest, o, trwale zniekształcony.

Po powrocie do celi wypytywałyśmy się szeptem: „Co ci zrobili? Bambus? Tak, popatrz, tutaj”. Bywało, że któreś się upiekło. Staraliśmy się o wszystkim informować.

Pewnej nocy obudził nas hałas na korytarzu. Do celi weszło kilku policjantów. Zdjęli mi kajdanki i natychmiast znów skuli, tyle że na plecach. Skrępowali mi też ramiona, sznurem. Wyprowadzili mnie i wrzucili, jak worek, na ciężarówkę.

Wieźli nas na thamzing. W sumie dziesięć osób, w tym trzech *Rinpocze*, czyli inkarnowanych lamów. Byłam jedyną kobietą. Pojechaliśmy do Lobaszy. Spędzili tam tysiące ludzi z trzech dystryktów naszego regionu. Nie mieli wyboru – udział był obowiązkowy.

Ustawili nas w szeregu. Przy każdym więźniu stało dwóch policjantów. Kazali uklęknąć i opuścić głowę. Nie wolno nam było podnosić wzroku. Pomyślałam, że w tłumie muszą być ludzie, których znam. Może przyprowadzili moje dzieci? Odruchowo podniosłam głowę i natychmiast dostałam w twarz od strażnika.

Na thamzingach obowiązywała prosta zasada: do bicia i lżenia ofiar zmuszano najbliższych – krewnych, przyjaciół, ukochanych. Do mnie „wydelegowano” Ugjena, naszego starego służącego, i pewną kobietę. Wcześniej poddano ich praniu mózgu, przypisując mi najohydniejsze czyny i, ma się rozumieć, występowanie przeciwko Chinom, partii komunistycznej i polityce władz.

Oni jednak nie chcieli mnie krytykować. „Nie mamy nic przeciwko Amie Adhi. Gdyby stał tu jej mąż, to co innego, ale ona nie zrobiła nam nic złego”. Szybko odesłano ich na miejsce. Wtedy z tłumy wystąpiła Chinka. Tradycja każe nam nosić długie włosy. Ta kobieta złapała mnie za warkocze i wbijając mi kolano w plecy, zaczęła ryczeć:

- Nie podoba ci się Komunistyczna Partia Chin! Jesteś kontrrewolucjonistką! Śmierdzącą szumowiną reakcji! Teraz, szmato, już wiesz, kto jest górą. Wy czy Komunistyczna Partia Chin. Wtrącili cię za kraty, ale nadal masz czelność podnosić głowę i gapić się na ludzi! Do tej pory patrzyłaś na świat dwójgłosem. Ale dziś jedno ci odbierzemy. Będziesz ślepa!

I zaczęła mnie bić w prawe oko. Nie wiem, czy miała w ręku kamień, ale po chwili byłam tak opuchnięta, że nie mogłam podnieść powieki. Prawa część twarzy zmieniła się w jeden wielki siniec. Naprawdę bałam się, że straciłam oko.

Chinki zmuszały lamów do picia ich moczu. Kiedy odwracali głowy, chlustały na nich uryną. Jedna usiadła na karku sędziwego *Rinpocze*, jakby był koniem, wrzeszcząc, że tumaniał lud swoją religią. Gdy bito i lżono innych, starałam się obserwować spędzonych ludzi. Wielu płakało.

Kiedy bili świeckich, ludzie byli stosunkowo spokojni, ale gdy zaczęli torturować *Rinpocze*, tłum zafalował. Ktoś krzyknął:

- Jakim prawem pastwiecie się nad naszymi lamami! Zabierzcie od nich tę chińską sukę!

Żołnierze natychmiast ruszyli w tłum po nowych więźniów. Thamzing trwał od świtu do południa. Potem znowu nas skuto, związano, wrzucono na ciężarówkę i zawieziono do Kandze.

Po dwóch czy trzech dniach wezwano mnie na kolejne przesłuchanie.

- Chcesz, to możesz sobie milczeć, bo twoja matka powiedziała nam już wszystko, co chcieliśmy wiedzieć. Tak, tak, mamy ją tutaj. I podała nazwiska.

Byłam zdruzgotana, ale zdołałam wykrztusić:

- Jeśli mama coś wie, to jej sprawa. Ja nie mam nic do powiedzenia.

Oczywiście kłamali i moja odpowiedź doprowadziła ich do furii. Po kilku rytualnych zniewagach i kopniakach odesłano mnie do celi.

Na kolejne wezwanie czekałam bodaj dwa dni. Powtórzyłam, że nie mam nic do dodania, ponieważ powiedziałam już wszystko, co wiedziałam. Gdybym miała jakieś informacje, to z pewnością bym ich nie tała, żeby jak najszybciej wrócić do dzieci.

- Jeżeli chcecie mnie zabić, zróbcie to. Po prostu nie chcę już cierpieć – skończyłam.

- Nie ty będziesz decydować, czy mamy cię stracić. To akurat jest przesądzone. Idziesz do piachu i to już za parę dni – i z tym odesłano mnie do celi.

\*\*\*

Kilka dni później wywołano mnie z celi i założono na kark deskę z jakimś napisem po chińsku. Wyprowadzono jeszcze jednego więźnia i potraktowano go w ten sam sposób. Zabrali nas na dziedziniec, gdzie stało już około trzydziestu skutych więźniów. Tylko my dwoje mieliśmy deski, pomyślałam więc, że nadszedł mój czas. Na ostatnim przesłuchaniu powiedzieli mi przecież, że to już wkrótce.

Natychmiast pomyślałam o dzieciach. To było moje jedyne zmartwienie. Byłam tak wycieńczona i obolała, że myśl o szybkiej śmierci nie budziła we mnie strachu, ale lęk o dzieci towarzyszył mi jak cień. Ciągle się bałam, że nikt ich nie przygarnie.

Nagle rozległ się hałas, odwróciłam głowę i zobaczyłam mojego szwagra, Pemę Gjalcena. On też miał deskę na szyi. Kiedy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się do mnie. Zauważyłam, że jego napis jest czerwony, podczas gdy mój był czarny.

Wyprowadzono nas z więzienia do oddalonych o jakiś kilometr koszar. Żołnierze już czekali. Pemie Gjalcenowi i mnie kazano uklęknąć.

- Przyjrzyjcie się sobie dobrze – usłyszeliśmy.

Pema Gjalcen był związany w ten ich straszny sposób, wyłamujący ręce ze stawów i nie pozwalający oddychać.

- Dziś stracimy Gjalcena, a Adhi będzie cierpieć przez całe życie. Spędzi w więzieniu szesnaście lat – pozostali więźniowie klęczeli obok i mieli na nas patrzeć.

Kazano nam wstać.

- Módl się, módl się do Trzech Klejnotów – wyszeptaliśmy, ale Pema Gjalcen tylko spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się wesoło.

Rozległy się dwa wystrzały. Jego krew i mózg bryznęły na moją czubę.

- Patrz, patrz na niego! – wrzasnął Chińczyk.

Z głośników popłynęła wesoła muzyka.

- Straciliśmy Pemę Gjalcena – powiedział oficer. – Tak wygląda nasza zemsta. Ama Adhi będzie cierpieć do końca życia. Niech każdy z was zastanowi się nad ich losem. Wicie już, co was czeka, jeśli podniesiecie rękę na partię. – A potem odwrócił się do mnie i dodał – No, jeśli możesz na kogoś liczyć, wezwij go teraz. Jeżeli możesz liczyć na Dalajlamę, wołaj. Jeśli możesz liczyć na Amerykę albo jakieś inne państwo, chętnie się temu przyjrzymy.

\*\*\*

Aresztowano mnie szesnastego dnia dwunastego miesiąca tybetańskiego kalendarza w 1958 roku. W więzieniu Kandze spędziłam jakieś pięć miesięcy. To było prawdziwe więzienie, nie takie, jak klasztor Drice. Zbudowano je w odludnym miejscu tak, by zapewnić pełną kontrolę.

W mojej celi siedziało pięć kobiet. Nie było prycz, spałyśmy na podłodze. Rolę toalety pełniło drewniane wiadro. Musiałyśmy spać w tym brudzie i smrodzie.

Karmiono nas dwa razy dziennie. O dziesiątej rano dawali nam *campę*. Około siedemnastej roznosili drugi posiłek – z reguły *campę* albo bułeczkę, którą nazywamy *momo*. Nie było tego dużo, ale dało się przeżyć.

Nigdy się nie myłyśmy, nawet rąk. Nie miałyśmy też żadnego ruchu. Cały czas trzymali nas w celach i wyprowadzali tylko na przesłuchania. Nie wolno nam było ze sobą rozmawiać. Łamanie reguł było niebezpieczne, bo w każdej celi mieli informatorów. Dowiedziałam się o tym od kobiety, który mi pomagała. Od tej pory bałam się mówić.

O dziesiątej i siedemnastej opróżniałyśmy wiadro. Jeżeli niosło się je z kimś, komu można było ufać, dawało się wtedy zamienić kilka słów.

\*\*\*

W 1959 roku, czwartego miesiąca naszego kalendarza, grupę więźniów – jakieś dwadzieścia pięć osób, głównie mnichów – przeniesiono do Darcedo przy chińskiej granicy. Jechaliśmy ciężarówką w eskorcie uzbrojonych żołnierzy. Byłam jedyną kobietą. Większość mnichów stanowili wysocy lamowie i *tulku*. Związano nas ze sobą. Mnie skuto z Rinpocze i mnichem.

Nie powiadomiono nas o transporcie, a na śniadanie dali wyjątkowo dużo herbaty. Oczywiście wszyscy się na nią rzucili, by wypełnić żołądki. Zaraz po posiłku pognano nas na plac i wywieziono. Jechaliśmy bardzo długo, nie zatrzymując się po drodze.

Ciężarówka podskakiwała na wertepach, niemilosiernie trzęsło i strasznie się bałam, że puści mi pęcherz w obecności tych wszystkich czcigodnych nauczycieli. Zauważyłam, że niektórzy mnisi, zwłaszcza sędziwi, nie wytrzymywali i oddawali mocz pod siebie.

Pod wieczór dojechaliśmy do Gadagu. W tym regionie było mnóstwo więzień i obozów pracy. Zatrzymaliśmy się w Lung Trangu, czyli „rolniczym obozie pracy”. *Szamthaby*, dolne suknie, większości mnichów były mokre. Duchownych spędzono do jednej sali, a mnie zamknięto samą w maleńkiej celi.

Następnego ranka ruszyliśmy w drogę bez śniadania. Do Darcedo dojechaliśmy koło południa. Dali nam po szarym *momo* i kubku czarnej herbaty i natychmiast pognali do noszenia i tłuczenia kamieni. Każde z nas dostało paletę do noszenia kamieni – zbite deski ze sznurkami i listwą na dole, które zakładało się jak plecak. W życiu nie widziałam czegoś takiego i nie miałam pojęcia, co z tym zrobić. Przez przypadek założyłam tę uprząż odwrotnie. Jeden ze strażników natychmiast uderzył mnie w twarz, warcząc:

- Lepiej uważaj. Nie okazuj lekceważenia. Jak chcesz w ten sposób nosić kamienie?
- Nigdy przedtem tego nie robiłam – odparłam. – Skąd mam wiedzieć, jak to założyć?
- Zamknij pysk i do roboty – usłyszałam.

Kamienie nosiliśmy w dwóch kolumnach. Nie wolno było łamać szyku i trzeba było maszerować równym krokiem – czy to z ciężkimi kamieniami, czy to z pustą paletą. Kamieniołom, w którym inni więźniowie wysadzali i cięli kamienie, był oddalony o jakiś kilometr. Tam strażnicy obserwowali nas szczególnie uważnie.

Sędziwi lamowie, nie przyzwyczajeni do pracy fizycznej, szybko słabli i nie nadążali ze swymi ładunkami. Strażnicy szydzili z nich i bili za łamanie kolumny.

Czasami obserwowali nas okoliczni Tybetańczycy. Wielu płakało, bo nie mogli nic dla nas zrobić. Po pewnym czasie Chińczycy dali spokój starcom i po prostu zamykali ich w celach, goniąc do roboty tylko młodszych.

W więzieniu było około trzystu kobiet. Siwowłose starowinki, mniszki i młode dziewczęta. Pochodziłyśmy z różnych regionów Tybetu – z Lhasy, Derge, Czamdo, Lithangu, Czatingu, Amdo, Kandze, Njarongu. Były też wśród nas koczowniczkki. Mówiło się tu tyloma dialektami, że często nie mogłyśmy się ze sobą porozumieć.

W Darcedo zebrano większość bojowników, którzy przeżyli walki. Często wypytywaliśmy się nawzajem o dzieci. Tych, którzy ich nie mieli i nie musieli się o nie martwić, uważano za prawdziwych szczęściarzy.

Dziesięć kobiet skierowano do mycia samochodów. Napatrzyłyśmy się przy tym na ciężarówki wyładowane złotymi posagami z naszych klasztorów. Bałyśmy się rozglądać, bo zawsze pilnowali nas strażnicy, ale czasem udawało się coś dojrzeć. Wieczorami opowiadałyśmy o tym innym więźniarkom. Nasz kraj utracił swoje matki, które gnily w więzieniach, i swoje bóstwa, które wywożono do Chin.

Więzienie w Darcedo było niegdyś wielkim klasztorem, który nazywał się Ngamczoe. Splądrowano go i przerobiono na więzienie. Chińczycy trzymali tu wielu wielkich, inkarnowanych lamów. Wszyscy mnisi spali w głównej nawie. Cele kobiece – dziesięcio, dwudziestoosobowe – znajdowały się przy dziedzińcu.

Pewnego dnia wezwał mnie oficer i powiedział krótko:

- Wczoraj opowiadałaś innym o ciężarówkach z posagami. Wiesz, co cię czeka, jeśli nie pójdziesz po rozum do głowy.

Nieco później skierowano mnie do pracy w chlewie, przy świniach, hodowanych dla oficerów. W więzieniu zaczynało brakować jedzenia. Nie dostawaliśmy już momo, tylko papkę z kukurydzy lub owsa. Trzy miski na dzień.

Dwa razy dziennie mnisi wychodzili na dwór i wlewali zawartość kibli do pobliskiego strumyka. Często próbowali potem obmyć dłonie i twarze. Po drodze przechodzili przez wielki kamienny dziedziniec. Wybierałam kawałki jedzenia z pomyj, którymi karmiono świnię, i rozrzucałam je po dziedzińcu. Chowając się przed rozlokowanymi na dachu strażnikami, pokazywałam mnichom, gdzie położyłam resztki, a oni je podnosili i natychmiast zjadali. Kiedy się głoduje, takie zdarzenie wydaje się prawdziwym darem niebios.

Pewnego dnia, gdy pracowałam w chlewie, usłyszałam stłumiony okrzyk:

- Aro! Aro! – co w dialekcie z Khamu znaczy „chodź tu”.

Głosy dobiegały z niewielkiej celi z małym okienkiem. Zajrzałam do środka i zobaczyłam dwóch mężczyzn. Obaj byli ranni w nogi.

- Jesteś siostrą Dzugumy? – zapytał jeden z nich, a ja natychmiast pomyślałam, że mój brat został zabity.

- Tak, tak, czy coś mu się stało?

Zaprzeczyli i podzieli się ze mną kilkoma dobrymi wiadomościami. Powiedzieli, że Jego Świątobliwość Dalajlama zdołał uciec z Tybetu i bezpiecznie dotrzeć do Indii. Z radości zakręciło mi się w głowie. Kiedy Chińczycy zaczęli ostrzeliwać Lhasę i Norbulingkę, oni także próbowali uciekać, ale komuniści zablokowali wszystkie drogi. Ich wszyscy towarzysze zginęli, a oni, ranni, dostali się do niewoli. Obaj byli z Derge w Khamie. Mego brata spotkali w Lhasie, przed Norbulingką i razem walczyli z Chińczykami. Powiedzieli mi, że Dzuguma przedostał się do Indii. (Dziś mieszka w Nepalu.)

Byli w strasznym stanie. Rany i głód zrobiły swoje. Wybrałam co lepsze kawałki z pomyj, którymi karmiłyśmy świnię, ulepiłam z nich kulki i wrzuciłam przez to okienko. Musiałam dobrze celować, bo byli tak słabi, że gdyby upadły dalej, nie zdołaliby do nich dopelznąć.

Kiedy tylko zobaczyłam mnichów z wiadrami, natychmiast przekazałam im wspaniałe wieści o ucieczce Jego Świątobliwości. Nie posiadaliśmy się z radości, że nie wpadł w łapy Chińczyków. Wierzyliśmy, że wkrótce wróci i wszystko zmieni się na lepsze.

Z radości zaczęłam śpiewać pieśń z naszych rodzinnych stron, której nauczył mnie ojciec. Śpiewało się ją zimą:

*Spadł śnieg, ale nie bądź smutny,  
Po śnieżycy zawsze wstaje słońce.*

Każdy więzień, który usłyszał tę pieśń, musiał wiedzieć, że stało się coś dobrego. Wszyscy mnie zagadywali, a ja opowiadałam im o szczęśliwej ucieczce Jego Świątobliwości.

\*\*\*

W chlewie pracowały cztery kobiety: Ngangco Łangmo z Lithangu, Dolkar i Jangczen z Czatringu i ja. Wszystkie miałyśmy po dwadzieścia parę lat.

Naczelnik więzienia, Chińczyk Trang Tsu Do Trang, regularnie nas gwałcił. Wzywał kolejno do swojej kwatery – pod pretekstem sprzątnięcia – i brutalnie gwałcił. A potem straszył, żebyśmy nikomu nie powiedziały. Szczególnie upodobał sobie mnie. Zawsze rozpuszczał w szklance wody pachnącą piżmem pastylkę i kazał nam to pić. Później dowiedziałam się, że był to jakiś środek antykoncepcyjny.

Za każdym razem strasznie płakałyśmy. To okropne uczucie nie mieć prawa do swego ciała. Nic jednak nie mogłyśmy zrobić. Wszyscy więźniowie konali z głodu, a my w tym chlewie miałyśmy chociaż pomyje i resztki ze stołów strażników. Dzięki temu nie głodowałyśmy.

W końcu odwołano tego bydlaka i zastąpił go inny oficer. Nie posiadałyśmy się ze szczęścia.

\*\*\*

Ciągle wyносиłam resztki na dziedziniec, ale nie mogłam nie zauważyć, że mnisi są coraz bardziej wycieńczeni. Mieli zapadnięte oczy, wystające kości policzkowe, coraz większe głowy na coraz bardziej wiotkich szyjach. Wyglądali jak głodne duchy. Strach było na nich patrzeć.

W Darcedo jedzenia brakowało od samego początku. W Kandze zwykle dawali nam momo, a tu wyłącznie papki i kleiki. Wszyscy szybko słabli. Najlepiej trzymała się nasza czwórka z chlewa, bo miałyśmy pomyje.

Darcedo jest wielkim regionem. Są tu trzy główne drogi: północna, wschodnia i zachodnia. Wzdłuż drogi, która nazywała się Jarlotago, kopali zbiorowe groby dla więźniów. W owym czasie odór rozkładających się ciał sprawiał, że nie dało się nią jeździć. Do dziś pełno tam ludzkich kości. Dobrze pamiętam, gdzie były doły, do których wrzucali ciała pomordowanych i zagłodzonych więźniów. Dzień w dzień opróżniali tam kilka ciężarówek z trupami. Raz mniej, raz więcej: zwykle osiem, dziewięć, dziesięć.

Nie oznaczało to zmniejszenia tempa prac przy rozbudowie więzienia. Wszystko robili skazani – od dobywania kamieni po murarkę i stolarkę.

Wstawaliśmy o siódmej, o ósmej przynosili śniadanie, praca zaczynała się o dziewiątej. Obiad dawali, gdy wykonano poranną normę. Robili wtedy godzinną przerwę, bo strażnicy musieli odpocząć po jedzeniu. Druga tura trwała jakieś cztery godziny. Po kolacji mieliśmy dwie godziny edukacji politycznej. Te wiece reedukacyjne odbywały się co wieczór w każdym więzieniu. Dla Chińczyków była to okazja do lżenia i karania więźniów, którzy się im narazili. Mówili, że Mao Zedong jest naszym ojcem. Opowiadali, że Chiny są najlepszym krajem na świecie. „Czekacie na Dalajlamę – powiadali – ale on jest bezradny. Może lizać buty imperialistycznej Ameryki, ale i tak nie udzieli mu żadnej pomocy. Nie potrafi nawet zadbać o własne zdrowie. Jesteście skończeni”.

Więźniowie, którzy byli wcześniej żebrakami, znali chiński lub kolaborowali z komunistami, mieli specjalny status. Szpiegowali i donosili. Chińczycy namawiali ich do tego, obiecując pieniądze lub szybkie zwolnienie. Czasem faktycznie to robili, informując nas przy tym na uroczystym wiecu, że zwolniony był wzorowym więźniem, donoszącym o zachowaniu i postępkach innych skazanych.

W końcu jeden z donosicieli powiedział na sesji edukacyjnej, że pieśń, którą śpiewałam musiała mieć jakiś podtekst, bo wszyscy, nawet mnisi, chodzili podekscytowani. Oskarżył mnie też o wynoszenie resztek mnikom.

Wkrótce potem wezwali mnie do biura, do którego przynieśli drewniane koryto z chlewu. Kazali mi na nim uklęknąć, podnieść ręce i zaczęli przesłuchanie.

- Dlaczego śpiewałaś? O co ci chodziło? Uważasz, że nadejdą lepsze czasy? Jakie lepsze czasy? Co miałaś na myśli?

- To tylko stara piosenka z moich rodzinnych stron. Po prostu nagle do mnie wróciła. Nic dobrego już nas nie spotka. Przecież wszystko przepadło. Zginęło tylu ludzi.

W końcu uznali mnie winną trzech przestępstw: informowania więźniów o wywożeniu posągów do Chin, podbierania karmy świniom i zanoszenia jej mnikom oraz śpiewania pieśni. Znowu zaczęli mi

grozić egzekucją. Mówili, że żadna inna skazana nie dopuściła się wcześniej tak ciężkich zbrodni, i orzekli, że egzekucja brata niczego mnie nauczyła, skoro mam czelność dopuszczać się nowych przestępstw za kratami.

Kłęczalam na tym korycie niemal cztery godziny. Ostre drewno raniło kolana. Noszę te blizny do dzisiaj. Kiedy wstałam, w butach chlupotała mi krew. Odebrali mi pracę przy świniach i powiedzieli, że będę siedzieć w celi, żeby „wszystko sobie przemyśleć”.

Całymi dniami wyglądałam potem przez okno. Obserwowałam mnichów, którzy taszczyli swoje wiadra, szukając resztek w starych schowkach. Ale jedzenia już nie było.

\*\*\*

Trzecia droga z Darcedo nazywa się Gjanagtago i prowadzi do Chin.

Po półtora roku, jesienią 1960, przeniesiono mnie ponownie. Wiele kobiet z Darcedo zmarło już z głodu. Z pozostałych wyselekcjonowali setkę dwudziestoparolatek. Wraz z grupą około dwustu mężczyzn wysłali nas do kopalni ołowiu w Gothang Gjalpo, tuż za chińską granicą.

Szliśmy tam w dwóch kolumnach w eskorcie uzbrojonych strażników. Pięć dni. Dostawaliśmy przyzwoite jedzenie, bez którego z pewnością nie dotarlibyśmy do celu. Dawali nam momo i zupę, nie składającą się wyłącznie z wody. Było nawet co zlizywać z łyżki.

Każdy więzień niósł swój cały dobytek. Ja nie miałam nic poza kubkiem. Ciągle też chodziłam w czubie, w której aresztowano mnie przed dwoma laty. Była dla mnie wszystkim. Rękawy służyły za poduszkę, jedna poła za materac, a druga za koldrę. W Darcedo nie mieliśmy żadnej pościeli ani koców.

Kiedy tak maszerowaliśmy, postanowiłam odebrać sobie życie, skacząc z mostu. Modliłam się do Trzech Klejnotów. Zdecydowałam, że skoczę z mostu Czagsam, który łączył Tybet z Chinami. Ale nie mogłam tego zrobić, bo przed wejściem na most powiązano nas w sześćoosobowe grupy.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Gothang Gjalpo, naszym oczom ukazał się niewiarygodny widok. Tłum harujących w kopalni więźniów przypominał mrowisko. Były ich tysiące. Sami Tybetańczycy. Wszyscy, jak w Darcedo, zagłodzeni. Wielu ślaniało się na nogach i podpierało kijami. Niektórzy nie mogli nawet podnieść głowy.

Więzienie leżało w korycie dwóch rzek, tuż za nim wyrastała wysoka góra. Nie było mowy o ucieczce. Skazani drążyli w zboczu gigantyczną jamę, z której dobywano ołów.

Podzielono nas na dziesięcioosobowe grupy robocze. Każdy dostał mały młotek, którym rozbijał wynoszoną z jamy rudę. Wieczorem ważono nasz urobek. Jeżeli nie wyrobiliśmy normy – nie pamiętam, ile to było kilogramów – karano nas odebraniem lub ograniczeniem racji żywnościowych, kukurydzianej lub owsianej papki.

Udawałam, że jestem chora i nie mogę pracować. Przenieśli mnie do ogródka, w którym uprawialiśmy warzywa dla chińskich strażników. Tu przynajmniej można było znaleźć coś do jedzenia.

Czy to w kopalni, czy w ogrodzie, wszędzie pilnowali nas uzbrojeni żołnierze. Nie spuszczali nas z oka. Każdy, kto chciał iść za potrzebą, musiał ponieść rękę i prosić o pozwolenie. Obowiązkowa formuła brzmiała: *Boko Dżesu*, „Przepraszam Pana”. Jeśli strażnik skinął głową, można było iść, jeżeli nie zareagował, trzeba było kontynuować pracę.

Nie chorowałam, bo zjadałam każde zielone kłaczki i listki, jakie wpadły mi w ręce. Nacjonaliści z Kuomintangu zjadali też znalezione na polu robaki (były dwa rodzaje: białe i czerwone). Ja nie mogłam się na to zdobyć, ale jadłam listki, zioła i trawę.

Po jakimś czasie byłam już tak słaba, że ledwie chodziłam. Nie mogłam pokonać nawet kilku metrów. Wstawałam i upadałam. Nie miałam siły na zawiązania paska od czuby. Ciągle przydeptywałam sobie poły. W końcu odpadła cała podszewka.

Gdy dawali nam zupę, każdy opierał się całym ciężarem na kiju i natychmiast ją wypijał. Byliśmy tak drżący i słabi, że nie mogliśmy utrzymać misek. A jak się potknąłeś i wylałeś, było po wszystkim.

Kiedy kucharz niósł do nas kocioł, schodzili się strażnicy. Dla nich to była wyśmienita zabawa. Opróżniony kocioł stawiano na środku celi i pozwalano skazanym „wybrać resztki”. Na dany sygnał wszyscy rzucali się do kotła, wsadzając weń głowy, ręce. Więźniowie byli tak słabi, że wywracali się, zataczali, deptali, walcząc o dostęp do pustego gara. Chińczycy zaśmiewali się do rozpuku.

Zawsze wtedy płakałam. Nie mogłam tego pojąć, w końcu byliśmy takimi samymi ludźmi. Modliłam się do Jego Świątobliwości i Trzech Klejnotów o uwolnienie nas o tych męczarni.

Czasami strażnicy zabawiali się, wynosząc więźniom herbaciane fusy. Siadali na pagórku i rozrzucali stare liście, a skazani ścigali się do nich niczym pijane szkielety. Od jedzenia fusów czerniały języki i wargi.

Wszystkie te sceny widzę tak wyraźnie, jakby wydarzyły się wczoraj. Czasami, kiedy jem kolację, pojawiają się twarze współwięźniów i jedzenie staje mi w gardle.

Kiedy umiera się z głodu, myśli się tylko o jedzeniu. Płacze i błaga o kawałek chleba czy miskę campy. Ciągłe rozmawia o rozmaitych potrawach. Krzyk i płacz jedynie osłabiają. Potem już tylko się jęczy. I umiera, mającąc o jedzeniu.

Spaliśmy w dwóch rzędach, od ściany do ściany. Na każdą przypadało jakieś czterdzieści pięć centymetrów podłogi. Ponieważ została z nas tylko skóra i kości, było tego aż nadto.

Niektóre kobiety płakały przez sen i błagały o jedzenie. Czasem czuło się, że leżąca obok osoba robi się zimna. Rano okazywało się, kto przeżył, a kto umarł. Trupy wynoszono na korytarz. Do dziś czuję chłód śmierci tych wszystkich kobiet, które umarły, we śnie, obok mnie.

Najczęściej śniłyśmy o jedzeniu. O świeżym chlebie, o campie, o ulubionych potrawach, pod którymi uginają się stoły i które nigdy się nie kończą. Przebudzenie z takiego snu jest koszmarem. Głód wydaje się wtedy jeszcze gorszy.

Thupten Dhargje – żyje do dziś – próbował kiedyś ugryźć zwłoki więźnia, który umarł w nocy w jego celi. Strażnicy zauważyli, co się dzieje, związali go i powlekli na thamzing. Po tym incydencie nie trzymali już trupów w korytarzu, tylko wrzucali je za taki drewniany płotek.

Przy pierwszej okazji spytałam Thuptena, ile udało mu się zjeść i jak smakuje ludzkie ciało.

- Nie było nic do jedzenia – odparł. – Sama skóra i kości, żadnego mięsa. Zanim zdążyłem przegryźć tę skórę, dopadli mnie Chińczycy.

Umierający dzieli się na dwie grupy: jedni odchodzili modląc się do Jego Świątobliwości i Trzech Klejnotów, inni – jęcząc i błagając o jedzenie.

Pomyślałam, że muszę przygotować się na śmierć. Z paska tkaniny, na którym zawiązałam sto osiem supełków, zrobiłam sobie różaniec. Modliłam się bezgłośnie i recytowałam pudżę Tary.

Czułam się coraz gorzej. Nie mogłam już chodzić. Siedziałam tylko i powtarzałam mantry. Pewnej nocy poczułam, że mój nos robi się zupełnie zimny. Nie wiedziałam, co się dzieje. Pomyślałam, że przyszła moja kolej.

Następnego ranka usłyszałam dźwięk spadającej wody. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że leżę w drewnianej klatce na trupy. Poczułam przejmujący smutek i zaczęłam modlić się do Jego Świątobliwości i Trzech Klejnotów.

Ludzie, którzy przyszli po zwłoki, zauważyli, że mam otwarte oczy, i odnieśli mnie do celi. Ktoś zdążył zabrać moją czubę i podmienić ją na stary łachman, którym mnie okryto.

W naszej celi właściwie nie było już nikogo. Wszystkie umarły. Ze stu kobiet, które przywieźli tu z Darcedo, zostałyśmy tylko cztery. Ponieważ nie było co ze mną zrobić, odesłano mnie do trójki, która opiekowała się świniami.

W 1962 roku naczelnika Ma Kutra zastąpił Bhe Kutra (*kutra* – to tytuł, oznaczający wysokiego urzędnika). Kiedy przekazywali sobie dokumenty, stary komendant powiedział nowemu, że w latach 1960-62 w obozie umarło z głodu 12.091 Tybetańczyków. Ich rozmowę podsłuchał Tenzin Norgaj, Tybetańczyk, który pracował w więzieniu. Był tak zaszokowany, że powtórzył to lekarzowi, i wkrótce mówili o tym już wszyscy.

Do końca życia nie zapomnę tej liczby: 12.091.

\*\*\*

Sąsiedzi namawiali mego brata Nime, żeby zawiózł mi do więzienia jedzenie. Radzili, by chodził od domu do domu i zebrał o datki. Obawiali się, że jeśli nie zrobi tego w taki sposób, Chińczycy mogą go oskarżyć o kradzież żywności. Brat zrobił to i w końcu dotarł do Gothang Gjalpo.

W tym czasie została nas już tylko garstka. Kiedy Nima stanął przed bramą z workiem campy, masła, suszonego mięsa, sera i herbaty, Chińczycy powiedzieli mu, że nie może przekazać mi żywności, bo władze dbają o więźniów.

- Nie potrzebują tu waszego jedzenia. Mają wszystko, czego im trzeba. Nikt nigdy nie przynosił i nie będzie przynosił paczek do Gothang Gjalpo.

Mieliśmy lekarza, więźnia, Chińczyka z Kuomintangu, którego mianowano obozowym doktorem, żeby ładnie wyglądało na papierze. W gruncie rzeczy, choć był dobrym człowiekiem, w niczym nie przypominającym chińskich komunistów, nie mógł dla nas zrobić zbyt wiele. Ten lekarz wtrącił się do rozmowy i zaczął przekonywać strażników, żeby pozwolili bratu – który płakał i pokazywał żołnierzom pęcherze na stopach – zanieść mi jedzenie, skoro przebył z nim taki szmat drogi.

W końcu Chińczycy kazali mu skosztować każdego produktu – pewnie po to, by sprawdzić, czy nie są zatrute – i przekazali paczkę doktorowi.

Zanim pozwolono mi na widzenie z bratem, strażnik ostrzegł mnie, że mam wyglądać na zadowoloną i nie wspominać o głodzie. Groził surowymi konsekwencjami. Na koniec powiedział, że jeśli dobrze się sprawię, to być może dostanę w nagrodę coś do jedzenia.

Poszłam więc, jak mi kazali, z uśmiechem, ale brat zaczął płakać, gdy tylko na mnie spojrział. Nie wierzył własnym oczom. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie był w stanie wykrztusić słowa.

Kiedy wyszłam na wolność powiedział mi:

- Nie poznałem cię. Nie wiedziałem, że człowiek może tak wyglądać. Te zapadnięte oczy, wystające kości... To było przerażające. Nie mogłem tego znieść. Widziałem wszystkie kości.

Brat mówił, że po tym spotkaniu nie mógł jeść miesiącami. Ilekroć patrzył na jedzenie, widział moją twarz. Chińczycy kazali mi powiedzieć bratu, że nie jestem głodna, ale nie potrafiłam się do tego zmusić.

Potem codziennie lekarz przynosił mi trochę campy. Powiedział, że jeśli da mi cały worek, zjem wszystko od razu i umrę. Dzięki regularnym, coraz większym racjom, wyjaśnił, stopniowo odzyskam siły. To był naprawdę dobry człowiek. Przeżył. Pracuje dziś gdzieś w Chinach.

Nie umiem opisać smaku pierwszej garści campy. Oczywiście, natychmiast chciałam więcej, ale lekarz był nieugięty. Codziennie zwiększał porcję i wkrótce jadłam już codziennie pełną miskę. Byłam szczęśliwa.

Współwięźniowie mówili, że pachnę campą. Wydaje mi się, że to prawda – kiedy jesz campę, to nią pachniesz. Pytali, co przyniósł brat, ile z tego dostałam, ile zjadłam. Ja byłam syta, ale oni... Wiele o tym myślałam. Z jednej strony, chciałam się podzielić, z drugiej, bałam się, że nie starczy. Z jednej strony, codziennie pełna miska, z drugiej – symboliczna, jednorazowa garstka dla każdego...

Czułam się znacznie lepiej. Mogłam chodzić a nawet pracować. W końcu podjęłam decyzję i powiedziałam doktorowi, że chcę się podzielić jedzeniem z innymi więźniami. Ostupiał. Pytał, czy jestem pewna. Odparłam, że nie mogę znieść tej sytuacji. Wyrazu ich twarzy, gdy mówią, że pachnę campą.

Lekarz załatwił wielki kocioł, który należał niegdyś do klasztoru. Rozpalił ogień i powiedział, żebym zrobiła zupę. Każdy więzień dostał pełną miskę. Niektórzy wypijali ją jeszcze przy kotle, tak gorącą, że oblewali się potem. Inni zanosili swoje porcje do cel i jedli powoli, dolewając wody.

Zostało nas już naprawdę niewielu, ledwie setka. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi i serdecznie mi dziękowali. Mówili, że będą się modlić o moje długie życie i szczęśliwy powrót do rodzinnego domu.

Strażnicy się nie wtrącali, bo wszystko załatwił lekarz. Kiedy więźniowie zaczęli mu dziękować, poprosił, żeby go nie chwalili i nie mówili o nim nic dobrego. Nie chciał, by władze dowiedziały się, że pomaga więźniom.



W 1963 roku w więzieniu zostały tylko cztery kobiety i może pięćdziesięciu, sześćdziesięciu mężczyzn. Obóz wydawał się zupełnie pusty. W końcu wszystkich skazanych i strażników przewieziono z powrotem do Darcedo. Gothang Gjalpo, w którym głód i niewolnicza praca zabiły ponad dwanaście tysięcy Tybetańczyków, zmieniło się w więzienie duchów.

\*\*\*

W pobliżu Darcedo, w Simacza, był specjalny obóz pracy dla kobiet. Nasza czwórka dołączyła do pięćdziesięciu skazanych z Darcedo i innych więzień. Uprawialiśmy warzywa dla Chińczyków – kapustę, paprykę, rzodkiew. Przy okazji zawsze udało się coś ukraść i zjeść.

Próbowaliśmy też wnosić jedzenie dla innych więźniarek. Strażniczki nie spuszczały nas z oka i rewidowały w bramie, ale zrobiliśmy specjalne kieszenie w czubach i po kryjomu wsuwałyśmy do nich warzywa. Nigdy nas na tym nie przyłapano.

Większość kobiet była stara i słaba. Młode i zdrowe pracowały w polu, reszta – przy wełnie. Na kradzionych warzywach wszystkie szybko odzyskiwałyśmy siły. Chińczycy zorientowali się, że coś jest nie tak, i często wymyślali nam od złodziejskich nierobów.

Tutaj w celach też nie było prycz ani materaców, ale każda z nas dostała mały wełniany koc. Za kibel służyło drewniane wiadro.

Funkcję strażników pełniły kobiety – w większości Chinki, ale było też kilka Tybetanek, z reguły żon Chińczyków. Kiedy w pobliżu kręcili się Chińczycy, udawały bardzo srogie i strasznie nam wymyślały, ale tak naprawdę były dla nas dobre i starały się pomagać. Gdy kradłyśmy warzywa, po prostu odwracały głowy.

Wypytywałam kobiety z Darcedo (to znaczy byłego klasztoru Ngamczoe) o sytuację w więzieniu, w którym siedziałam z setkami lamów i mnichów z całego Tybetu. Powiedziały mi, że wszyscy zginęli.

Pewnego dnia – usłyszałam – zmarło siedmiu wysokich lamów, między innymi Sogjal Czoephel Gjaco z Njarongu, Dukor Szabtrul z Dukor, Bhabu Tulku z Derge. Wszystkich ich znałam. Jednoczesna śmierć siedmiu *huofo*, „żywych buddów”, jak nazywają ich Chińczycy, wprawiła strażników w osłupienie.

W więzieniu była też staruszka z moich rodzinnych stron, Sonam Palzom. Choć nie powiedziała mi, co stało się z moim synem, opowiadała o innych wydarzeniach.

W Kandze mieszkał siwy jak gołąbek Lama Rinczen, którego znali wszyscy mieszkańcy naszego regionu.

- Po twoim aresztowaniu Chińczycy ogłosili, że szukają mu *thamzing*. Lama dowiedział się o tym od swojego mnicha, który strasznie rozpaczał. „Nie martw się”, powiedział mu. „W końcu wszyscy musimy umrzeć”. Kiedy mnich ułożył się do snu w kącie celi, usłyszał, że lama siada na łóżku. W środku nocy obudził go głośny dźwięk: *phe!* Nie wiedział, co się stało, i długo nie mógł zasnąć. Rano okazało się, że lama nie żyje, i Chińczycy mogli zapomnieć o swoim *thamzingu*.

Podczas tradycyjnego tybetańskiego pogrzebu rozbija się czaszkę zmarłego, co symbolizuje przejście świadomości do następnego żywota. Lama Rinczen, dzięki specjalnej praktyce medytacyjnej, którą nazywamy *phoła*, rozmyślnie wyprowadził świadomość z ciała i przeniósł ją do następnego wcielenia. Komuniści byli wściekli, że pokrzyżował ich plany.

W Gothang Gjalpo było kilku więźniów, którzy zajmowali się chorymi. Jeden z nich opowiadał mi o lamie, który pocieszał umierających z głodu, zapewniając ich, że odrodzą się w lepszym świecie i znajdą w nim spokój i wyzwolenie.

Pewnego dnia powiedział współwięźniom, że nadszedł jego czas. Poprosił o przyniesienie mu małego zawiniątka, który zdołał przeschmuglować i ukryć w więzieniu. Była to żółta, mnisia koszula. Założywszy ją, usiadł na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i zaczął odprawiać jakiś rytuał. Odszedł w medytacji. Jego ciało wyglądało jak posąg. Później ciśnięto je na stertę innych.

\*\*\*

W Simacza spędziłam ponad dwa lata. Na początku 1966 roku zostałyśmy przeniesione do oddalonego o jakieś cztery godziny jazdy od Darcedo obozu Minjag Rangakha. W tym regionie Chińczycy mieli co najmniej dwadzieścia jeden obozów pracy. Podobno nasze stare więzienie przerobiono na szkołę.

Nadal uprawiałam warzywa. Te pola zaopatrywały wszystkich strażników i funkcjonariuszy z regionu Darcedo. Karmiono nas znacznie lepiej. Dostawałyśmy małe momo i gotowane warzywa. Ogólnie rzecz biorąc, więźniarki były w lepszej sytuacji niż więźniowie, którzy pracowali w polu lub na budowach.

Przed 1950 rokiem w naszym regionie nie było żadnego Chińczyka. Teraz zorientowali się, że to dobre ziemie. Zaczęli wyburzać nasze domy i wysiedlać Tybetańczyków. Wypłacali jakieś symboliczne odszkodowania i budowali domy dla Chińczyków. Uprawiali tę politykę w całym Khamie.

Nowe osady wznosili więźniowie. Nosili kamienie, wypalali cegłę – robili wszystko. Tyle tylko, że w nowych domach mieli mieszkać nie Tybetańczycy, a Chińczycy.

- Za naszych czasów – opowiadały starsze kobiety – mieliśmy ogromne pola. Mieliśmy łąki, na których rozbijaliśmy namioty i bawili do świtu. Były wyścigi, śpiewy i tańce. Teraz Chińczycy wszędzie budują te swoje domy. Kraj zmieniły się nie do poznania. Panoszą się tu tak, że nie poznajemy własnej ziemi.

Weźmy lasy. W niepodległym Tybecie góry i lasy były święte. W wielu miejscach nie można było ścinać drzew ani polować. Tak stanowiło prawo. W gęstych, wiekowych, dzikich lasach było tyle zwierząt, że ludzie bali się tam chodzić w pojedynkę.

Chińczycy obrócili je w perzynę. Zmusili więźniów do wykarczowania całych puszczy. Zwierzyna wyginęła. Całe drewno powieźli do Chin. Trudno się dziwić, że nie poznawaliśmy własnej ojczyzny.

Myślę, że właśnie dlatego władze chińskie zamknęły ten region dla cudzoziemców. Każdy musiałby dostrzec tę powódź, ten zalew Chińczyków. Dziś jesteśmy mniejszością w naszym własnym kraju.

\*\*\*

Pewnego dnia w 1967 roku komendantura wezwała dwadzieścia najsilniejszych więźniarek. Wszystkie zastanawiałyśmy się, gdzie nas przeniosą. Zawieźli nas do oddalonego o jakieś dwa kilometry szpitala i kazali czekać w wielkiej sali. To był najlepszy szpital w całym regionie, zarezerwowany dla chińskich dostojników i funkcjonariuszy.

Kazali nam pić jakiś przezroczysty, bardzo słodki płyn, na który mówili *futucza*. Wmuszali w nas to litrami. Wszystkie zrobiłyśmy od tego czerwone. Nie miałyśmy pojęcia, co się dzieje. Potem weszła gromada lekarzy w kitlach i zaczęli pobierać nam krew, od każdej jakieś pół litra. Właściwie nie bolało, tylko przy pierwszym ukłuciu.

Przynajmniej zrozumiwałyśmy, dlaczego byli dla nas tacy „mili”. Któraś powiedziała, że ten słodki płyn pewnie wzmacnia krew i lepiej jeszcze się go napić. Piłyśmy więc.

Pół godziny później lekarze wrócili i znów pobrali nam krew. Tyle samo. Byłyśmy przerażone, bo wiedziałyśmy, że przy tak marnym jedzeniu długo nie odzyskamy sił. Zobaczyłam, że twarze moich przyjaciółek robią się strasznie blade.

Żadna z nas nie umarła, ale byłyśmy bardzo słabe. Wiele zaczęło chorować. Rinczen Dolma z Czatingu umarła rok później. Zaraz po niej odeszła Jodrun Palmo z Njarongu i moja krajanka Cering Lhamo. Mówiła mi, że od czasu pobrania krwi czuje się tak, jak gdyby coś rosło jej w żołądku.

W więzieniu, ma się rozumieć, był lekarz, tyle że nie leczył. Można go było jednak pokazywać odwiedzającym. Więzienni lekarze, nawet jeśli byli nimi nie tylko z nazwy, i tak nie mogli nam pomóc, bo nie mieli żadnych leków. Jeżeli któraś z nas zaczynała chorować, to – bez leków, bez jedzenia – z dnia na dzień słabła i w końcu umierała. Ja nie zapadłam na zdrowiu tak bardzo, ale dostałam dziwnych

skurczów w łydkach i udach, które nie opuszczają mnie do dziś. Jeśli w nocy chcę przewrócić się z boku na bok, muszę to robić bardzo ostrożnie, powoli. Każdy gwałtowny ruch wywołuje skurcze.

Po pobraniu krwi wiele z nas nabawiło się dziwnych dolegliwości. Riho z Drakho w dystrykcie Nagczu miała zawroty głowy, nudności i często mdlała. Raz, padając, uderzyła się w głowę i trzeba ją było zszywać. Żyje do dziś i kiedy ktoś pyta, co jej dolega, odpowiada: „Ach, nic specjalnego. Zaczęło się, gdy pobrali mi krew w więzieniu”.

\*\*\*

W regionie Szingducza było więzienie o zaostrzonym rygorze, które Chińczycy nazywają Chen Yu. Otaczał je wysoki mur, strzegł tłum uzbrojonych po zęby wartowników. Trzymali tu więźniów z wyrokami od dwudziestu pięciu lat do dożywocia. W 1968 przenieśli mnie tam z grupką kobiet, które uznali za „trudne” i „niereformowalne”.

- Skierowano was do pracy, żebyście mogły się zresocjalizować, ale wy nie zamierzacie zmienić poglądów – usłyszałyśmy w bramie. – Tutaj szybko temu zaradzimy.

Przez rok nie wysyłano nas do żadnej pracy, tylko poddawano ideologicznemu praniu mózgow. W innych więzieniach przeznaczają się na reedukację dwie godziny dziennie – tu nie zajmowałyśmy się niczym innym.

Mówili nam, że Jego Świątobliwość żebrze o pomoc Ameryki i innych państw imperialistycznych, ale niczego nie może wskórać. „Ameryka jest papierowym tygrysem. Papierowy tygrys wygląda groźnie, ale gdy wpadnie do wody, zaraz znika. Ameryka jest wrogiem świata. Nie ma gorszego państwa. Nikt go nie lubi. Ale Dalajlama prosi ją o wsparcie. Na co więc liczycie? Darzenie takiego człowieka wiarą – to sen, ułuda. Śnią się wam miliony miłych i pięknych rzeczy, ale gdy się budzicie, nie ma nic, bo to tylko sen. Zamiast śnić, docieńcie wreszcie wielkość i dobroć Komunistycznej Partii Chin. Pod rządami KPCh Chiny stały się największym i najpotężniejszym państwem na świecie. Mao Zedong jest ojcem wszystkich ludzi. Uprzytomnijcie to sobie wreszcie. Zastanówcie się: podnieśliście rękę na partię. Teraz, zrozumiałwszy swój błąd, musicie wzbudzić w sobie miłość do partii. Studiować jej wytyczne i stosować się do nich. Jeżeli zmienicie postawę, wasze kary mogą zostać skrócone. Będziecie mogli wrócić do krewnych, wrócić w rodzinne strony. Jeśli jednak nadal zamierzacie śnić o Dalajlamie i zagranicznej pomocy, zgnijecie w więzieniu”.

Pewnego dnia, podczas godzinnej, poobiedniej przerwy dla funkcjonariuszy, zaczęło padać. Ktoś zażartował, że w związku z tym amerykański papierowy tygrys pewnie już się rozpuścił. A ktoś inny doniósł.

Wieczorem kazano nam klęczeć z podniesionymi rękoma. Gdy zaczynałyśmy omdlewać i opadać, strażnicy kopali nas w plecy, wrzeszcząc:

- Kanalie! Pokazujecie swoje prawdziwe oblicze nawet podczas reedukacji. Wkrótce się dowiemy, kto stał za tą prowokacją.

Kilka dni później wszystkie więźniarki wezwano do auli, w której czekali już na nas chińscy strażnicy i funkcjonariusze. Kazali usiąść i obcięli nam włosy – krótko, na chińską modłę. Następnie żołnierze wręczyli nam okrągłe, zapinane pod brodą czapki. Kazano nam zdjąć tybetańskie ubrania i nałożyć bawełniane maoistowskie uniformy. Nasze czuby i warkocze spalono.

Dopiero wtedy ogłoszono formalne rozpoczęcie wiecu.

- Od dziś będziecie mówić tylko po chińsku – usłyszałyśmy. – Od dziś będziecie karane za wypowiedzenie choćby jednego tybetańskiego słowa. Od dziś wszystko jest chińskie. Nie ma już Tybetu. Nie ma tybetańskich ubrań ani języka tybetańskiego. Są tylko Chiny. Nie wolno wam mamrotać modlitw i mantr. Jeżeli usłyszycie, że ktoś mówi po tybetańsku lub powtarza mantry, macie natychmiast powiadomić strażnika. Te, które będą z nami współpracować i ujawniać wichrzycielki, zostaną w nagrodę zwolnione.

Były wśród nas bezzębne, siwowłose staruszki, które nie rozumiały po chińsku słowa. Od tej pory miały siedzieć nieme; nie mogły się odzywać. Żeby było śmieszniej, Chińczycy musieli ogłosić ten

rozkaz przez tłumacza, bo inaczej nie dotarłby on do najbardziej zainteresowanych. Ja chiński już znałam. W końcu spędziłam za kratami ich więzień dziesięć lat.

Tak rozpoczęła się dla nas rewolucja kulturalna. Podczas wieców na krzesłach rozkładano religijne malowidła, abyśmy mogły się przekonać, czy nasze bóstwa „rzeczywiście są święte”. Chinki siadały na naszych świętych wizerunkach, a nam kazano patrzeć. Było to strasznie smutne.

„Reedukowano” nas w ten sposób przez cały rok. Osobiście byłam głęboko przekonana, że wszystko, co mówią Chińczycy, jest kłamstwem. Nie wierzyłam w jedno słowo. Wierzyłam tylko własnym zmysłom, oczom i uszom. Nie próbowałam się sprzeciwić – miałyby to tragiczne konsekwencje – ale w głębi serca odrzucałam ich ideologię i propagandę.

Wielu więźniów udawało, że zgadza się z Chińczykami i popiera ich idee, ale mało kto naprawdę tak myślał. Od czasu do czasu zwalniano z pompą jakiegoś „wzorowego” więźnia, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że są to niemal wyłącznie kapusie i kolaboranci.

Powtarzałam sobie w duchu, że nawet jeśli przyjdzie mi słuchać chińskich kłamstw setki tysięcy razy, nigdy nie zapomnę nauk lamów, którzy powiadają, że każde cierpienie musi się wyczerpać i w końcu nadejdzie szczęście. Rozmyślałam o Jego Świątobliwości, który starał się nam pomóc. Zawsze wierzyłam, że kiedyś wróci do swego ludu.

Przysięgam też sobie, że nigdy nie zapomnę cierpień, jakie zadawali nam Chińczycy. Żadnego aktu bestialstwa i okrucieństwa. I dlatego pamiętam je do dziś. Chciałam opowiedzieć o nich naszym rodakom, którym udało się uciec – kiedy już będą mogli wrócić do kraju. Ta myśl dodawała mi sił i determinacji.

\*\*\*

W 1969 roku wróciłyśmy do Szingduczy i warzyw. W więzieniu pracowała wtedy Tybetanka imieniem Drangkho, która przed laty wyszła za Chińczyka i dlatego dostała tę posadę. Bardzo nam pomagała. Mówiła: „Jesteśmy Tybetańczykami, a nie Chińczykami”. Miała do mnie słabość.

- Jesteś bardzo silna – powiedziała mi kiedyś. – Nie daj się im złamać. Niech sobie mówią, co chcą, nie mogą przecież zajrzeć ci w serce. Niektórzy są chwiejni. Sądzą, że to sprytne. Nie rób tego, bo to się musi źle skończyć. Zostań sobą, bądź silna, nie zginaj karku. To najlepsza taktyka.

Załatwiła mi pracę w kuchni. Miałam pomagać chińskiej kucharce. Drangkho powiedziała jej, że jestem bardzo solidna i pracowita.

- Nie próbuj uciekać, gdy wyślą cię po wodę – poprosiła. – I tak cię złapią, a ja będę miała poważne kłopoty. Staraj się w kuchni, a nigdy nie zabraknie ci jedzenia. Pamiętaj, że pobrali ci krew. Musisz odzyskać siły.

Czasami nosiłam jedzenie pracującym w polu więźniom. Oczywiście, zawsze miałam eskortę. Widziałam nowe szosy, po których pędziły ciężarówki z tybetańskim drewnem i drogocennymi posagami. Teraz wywozili te największe, pocięte na kawałki, potrzaskane siekierami i młotami.

W tym okresie Chińczycy zwozili do więzienia setki thanek i kazali więźniom ciąć je na kawałki. Te skrawki wrzucali potem do ogromnych kadzi z wodą i gliną i robili z nich zaprawę.

W 1968 roku obozy znów się zapełniły. Nowe więźniarki przynosiły straszne wieści: „Wszystko skończone. Wszystko zniszczyli. Zniszczyli naszą religię. Nie zostało dosłownie nic”. Były to z reguły mniszki, które nie chciały wyjść za mąż lub mówiły Chińczykom w oczy, co myślą.

- Z Jego Świątobliwością uciekło wielu najzdolniejszych ludzi – powiedziała nam jedna z nich. – Dzięki temu przeżyli. To dobrze. Ale zastanówcie się, kto został. Gdyby porównać nasz naród do dłoni, to straciliśmy kciuk i dwa pierwsze palce. Wybito najlepszych synów Tybetu. W lasach walają się niezliczone szkielety. W kraju zostały nam tylko dwa palce. I to te najslabsze. Praktycznie same dzieci. Nasze pokolenie odeszło.

- W chińskich więzieniach, w kopalni Gothang Gjalpo i w innych obozach, wymordowano całą tybetańską elitę – odparłam. – Ludzi wykształconych, urzędników, lamów, uczonych. Nasz kraj nie ma też już matek i nie ma religii. Jego Świątobliwość musiał uciekać za granicę.

Często modliłyśmy się o Jego powrót. A potem już tylko płakałyśmy.

We wszystkich rolniczych obozach pracy w naszym regionie były oddziały, zajmujące się stadami, które skonfiskowano koczownikom. Mięso, sery, masło i mleko przeznaczone były, ma się rozumieć, dla Chińczyków.

W 1970 roku, kiedy z okazji nowego roku zarzynano zwierzęta dla Chińczyków, spotkało nas wielkie szczęście – więźniowie dostali łby i nogi jaków. Wiadomość o mięsie zelektryzowała wszystkie więźniarki.

Nasz oddział dostał pięć łbów. Okropna chińska kucharka Li Hu Yeh, była funkcjonariuszka Kuomintangu, zmówiła się z szefową naszych strażniczek, tłustą Nukashi. Kiedy przyniesiono łby, zauważyłam, że obie wycinają z nich języki. Zapytałam, co robią, a kucharka kazała mi zamknąć pysk i pilnować własnego nosa.

Szepnęła coś Nukashi, która uśmiechnęła się i wyszła. Krew uderzyła mi do głowy, bo wiedziałam, jak wszyscy – zwłaszcza nasze staruszki – czekają na to mięso. Po wycięciu języków, które uchodziły za największy przysmak, zostałyby nam tylko skóra i kości.

Powiedziałam sobie, że nie spuszczę oka z języków. Przygotowałam sobie nawet wymówkę na wypadek, gdyby chcieli wysłać mnie po wodę albo drewno na opał.

Po chwili zauważyłam, że kucharka ukradkiem chowa mięso do torby. Kiedy ruszyła do drzwi, zerwałam się i złapałam ją za ramię. Byłam od niej znacznie silniejsza.

- Gdzie się wybierasz? – zapytałam. – Dlaczego zabierasz nasze mięso?

- Nukashi kazała je sobie przynieść!

Zaczęłyśmy się szarpać i udało mi się wyrwać z torby dwa języki. Natychmiast pobiegłam z nimi do stołu, pocięłam je na kawałki i wrzuciłam do kotła z zupą. W tym samym czasie kucharka ryczała:

- Adhi mnie bije! Adhi mnie bije!

Po chwili w kuchni zaroilo się od strażniczek. Zjawiała się też Nukashi.

Kucharka zaczęła coś do niej szeptać. Strażniczki wrzeszczały na mnie, ale tym razem nie bałam się, bo wiedziałam, że Nukashi próbowała ukraść coś, co miało trafić do więźniów. Ktoś złapał mnie za włosy, ktoś inny popchnął i uderzył w twarz. W tym zamieszaniu udało mi się wymierzyć policzek kucharce.

- Zabij mnie, jeśli chcesz! – wrzasnęłam do tłustej strażniczki i popchnęłam ją tak, że wyładowała na ziemi.

W tej samej chwili w kuchni pojawiła się Drangkho i spytała, co się dzieje.

- Te dwie kradną mięso więźniów – powiedziałam. – Z okazji nowego roku skazane dostały od władz pięć jacych łbów. Od kilku dni nie mówią o niczym innym. A te dwie próbowały im ukraść najlepsze kawałki mięsa.

Drangkho spojrzała zimno na Nukashi i zapytała:

- Co zamierzałaś zrobić z tym mięsem? Komendant dał je więźniom, nie tobie.

- Bierzesz jej stronę?! – ryknęła Nukashi.

Strażniczki zaczęły sobie wymyślać i po chwili doszło do rękoczynów. Natychmiast rzuciłam się na Nukashi i przewróciłam ją na ziemię. Zanim je rozdzielono, Drangkho wyrwała jej kilka garści włosów.

- Adhi pobiła nie tylko kucharkę, ale zaatakowała i mnie – wydyszała tłusta Chinka, gdy udało się jej pozbierać. Natychmiast mnie skuto i zaprowadzono do karceru.

Po chwili przyszła do mnie Drangkho i powiedziała, żebym się nie martwiła, bo zamelduje, że Nukashi próbowała ukraść mięso.

Po trzech dniach przyszedł do mnie chiński funkcjonariusz i zapytał, co się stało. Wszystko mu opowiedziałam.

- Incydent z mięsem, to jedno – powiedział. – Pobicie kucharki i podniesienie ręki na strażniczkę, to zupełnie inna sprawa. Spędziłaś w więzieniu dwanaście lat, ale nie zachowywałaś się przyzwoicie nawet przez chwilę. Uważaj, masz łeb jak z kamienia. Ty się nigdy nie zmienisz. Mówię,

uważaj. Jeżeli jeszcze raz podniesiesz rękę na funkcjonariusza, przesądzisz o swoim losie i dostaniesz kulę w łeb.

Spędziłam w izolatce cały tydzień. Oczywiście, nie wróciłam już do pracy w kuchni, tylko prosto na pole.

Ale dwa wyrwane przez mnie języki zostały w noworocznej zupie. Wszystkie więźniarki dziękowały mi za to, co zrobiłam. Wszystkie współczuły mi kary. Przynajmniej miały szczęśliwe święta.

\*\*\*

W latach 1972-73 pracowałam przy wyrębie lasu na granicy Lithangu i Minjag Rangakha. Zawożono nas tam o świcie, a wieczorem wracaliśmy do więzienia. Do kobiet należało zbieranie gałęzi na opał. Wtaczałyśmy też na ciężarówki pnie, czasem bardzo duże, które nie nadawały się do wywiezienia do Chin.

W lasach roilo się od Chińczyków, zwykłych cywili, którzy też wycinali sobie drzewa. W ten sposób, z różnych kierunków, karczowano całe lasy. Tybetańskich więźniów odseparowano od chińskich drwali.

Prawdę mówiąc, próbowano też sadzić nowe drzewa, ale sadzonki wymagały dużo wody. Kiedy przestawało padać, po prostu usychały.

Z drewna robiono też węgiel, paląc powoli pnie w ogromnych stosach. Więźniowie wykonywali najgorsze prace, a kobiety zbierały gałęzie.

Wszystkie drogi blokowały ciągnące się w nieskończoność kolumny ciężarówek. Głównie wojskowych. Przyjeżdżały do Tybetu z amunicją i zaopatrzeniem dla wojska, a wracały wyładowane naszym drewnem. W więzieniu musiałyśmy ciąć drewno na opał. Było to bardzo trudne. Rąbanie starych pni wymagało wielkiej siły. Robiliśmy to przy pomocy siekier, klinów i ciężkich, drewnianych młotów. Strażniczki nie pozwalały nam na żadne przerwy. Miałam rękę w pęcherzach.

\*\*\*

W 1974 roku skończył się mój szesnastoletni wyrok, który dostałam w 1958.

- Dziś kończy się twój wyrok – powiedziała mi pewnego dnia Nukashi. – Przez wszystkie te lata w Kandze, Darcedo, Gothang Gjalpo i tu, w Szingducza, zachowywałaś się nieznośnie. Jestem pewna, iż lubisz myśleć, że gdyby tylko dali ci nóż, wyrznęłabyś wszystkich Chińczyków. Dlatego zostaniesz zwolniona na określonych warunkach. Do końca życia będziesz nosić czarną czapkę.

W owym czasie zwalnianych więźniów nazywano się „czarnymi czapkami”. Oznaczało to całkowity brak swobody poruszania. Trzeba było uważać na każde słowo i, często, przedstawiać cotygodniowe sprawozdanie władzom. Byłym więźniom wypłacano też minimalne stawki.

- Twoje złe zachowanie – ciągnęła Nukashi – boli nie nas, a ciebie. Popatrz tylko na Lhamo Co – więźniarkę z oddziału czwartego. – Poszła siedzieć za to, co ty. Ale że nas słuchała, wróciła do społeczeństwa. Z tobą tak nie będzie.

- Pewnie traktujesz mnie inaczej, bo ukradłaś nasze mięso – odparłam. – Jako więzień pracowałam w wielu miejscach. Znam ludzi, którzy mi pomogą, jeśli będziesz się mnie czepiać. Twoich przełożonych może zainteresować informacja o tym, kto tu kradnie.

- Uważaj, co mówisz – warknęła Nukashi. – Dowiem się o wszystkim. Powiem też innym funkcjonariuszom o twojej niesubordynacji – sprzeczałyśmy się jeszcze chwilę i na tym skończyła się nasza rozmowa.

\*\*\*

Przeniesiono mnie do Mafutry, gigantycznego młyna. Formalnie nie było to więzienie, ale *lemi rukha* – „brygada robocza”. Największa różnica polegała na tym, że nie zamykali drzwi. I nie trzeba było wypróżniać się w celi. Przy robocie nie pilnowali nas uzbrojeni strażnicy, tylko funkcjonariusze w cywilu.

W ciągu dnia więźniowie – nadal nimi byliśmy, nie mieliśmy przecież żadnej swobody – pracowali w młynie. Większość – a było nas tam pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób; sami Tybetańczycy, byli skazani – pakowała mąkę w worki. Potem trzeba je było zważyć.

Warunki były inne, bo znikli strażnicy. Mogliśmy też odpoczywać, o ile udało się nam zejść z oczu Chińczykom, którzy mieli nas pilnować. Nazywaliśmy ich „szakalami”. Ktoś wołał: „idzie szakal”, i wszyscy udawali, że pracują. Na hasło: „szakal poszedł”, zaczynaliśmy się objąć.

Przez szesnaście lat, jakie spędziłam w więzieniu, dawali mi ustawowe 2,05 yuana miesięcznie. Było to tyle, co nic, ale mogli twierdzić, że więźniowie są wynagradzani za pracę.

W Mafutrze płacili nam 29 yuanów miesięcznie. Musiałam się z tego utrzymać – potracali za prąd, jedzenie i czynsz.

Rano dostawaliśmy ryżową zupę, a po południu momo albo warzywa, czasem ryż z warzywami. Wieczorem jedliśmy coś w rodzaju *thukpy*, zupy z kluskami. Jedzenie było na kartki. Trzeba było z nimi uważać, bo jak się przejadło przydziało, chodziło się z pustym brzuchem. Nawet przy stole musieliśmy przestrzegać chińskich norm.

W młynie, ma się rozumieć, zawsze dało się ukraść trochę campy. Mąki nigdy nam nie brakowało. Spaliśmy w pięcioosobowych salach. Nadal bez łóżek i koców.

Po roku przenieśli mnie do Watry – brygady roboczej, produkującej cegłę. Tu kopałam glinę.

Tam, gdzie mnie skierowano, wędrowały ze mną moje akta. Władze nowego więzienia musiały przecież zapoznać się z moim „dorobkiem”. Z Mafutry do Watry przesłano też długi list. Strażnik rzucił nań okiem i mruknął: „No, mamy tu poważną sprawę”. I już wiedziałam, że będą mieli na mnie oko.

Funkcjonariusze brygad roboczych nie nosili mundurów, ale też nie byli cywilami. Każdy nosił broń.

Pewnego dnia wysłano mnie z grupą mężczyzn do lasu.. Każdy miał przynieść sześć *gjama* opału – jakieś trzysta kilogramów. Potrzebowali drewna do wypalania cegieł. Wieczorem wracaliśmy do więzienia. Towarzyszył nam kucharz, który gotował herbatę w dwóch kotłach – dla funkcjonariuszy i dla więźniów.

W tutejszym lesie rosły wątłe drzewka. Ścinaliśmy je sierpami. Doświadczeni mężczyźni ostrzyli swoje narzędzia i jednym uderzeniem ścinali trzy drzewka. Ja potrzebowałam co najmniej dwóch uderzeń na pień. Ścięte drzewka wiązano w snopki i ładowano na taczki.

Pracowaliśmy na stromym, trudnym stoku. Mężczyźni poruszali się zygzakiem, ale ja nie znałam tego systemu i ciąłam po linii, co sprawiało, że ciągle padałam. Miałam ogromny problem z wyrobieniem normy. Kiedy strażnik nie patrzył, pożyczalam drzewka z cudzych stert. Moi towarzysze starali mi się pomagać, ale czasem nie wyrabiałam normy.

Po powrocie do więzienia wazyliśmy drewno. Jeśli nie zrobiłam normy, wieczorem poddawano mnie krytyce na wiecu reedukacyjnym.

- Dlaczego nie wyrobiłaś normy? – pytał Chińczyk.

- Jestem jedyną kobietą w męskiej brygadzie. Nie umiem ciąć tak szybko. Tyle.

- Łiesz. Uchylasz się od pracy. Jak podnosiłaś rękę na Komunistyczną Partię Chin, nie narzekałaś na brak sił. A teraz jesteś za słaba, by ciąć drzewa.

To był dla mnie trudny czas. W ciągu dnia bałam się o normę, a wieczorem lżono mnie i upokarzano na oczach wszystkich więźniów.

Pamiętam, że raz spadłam z taczka z deski, którą wjeżdżaliśmy na ciężarówkę. Strażnicy cieszyli się jak dzieci.

Wtedy też poznałam Rinczena Samdruka. Pomagał mi, gdy miałam trudności, choć strażnicy próbowali mu tego zabraniać.

- Wiecie chyba, że kobiety są słabsze od mężczyzn – odpowiadał. – Dlaczego skierowaliście ją do lasu? Czemu nie robi tego, co inne kobiety?

W końcu dostałam nowy przydział. Nosłam kamienie na budowę.

\*\*\*

Więźniowie z brygad roboczych, którzy nie narazili się Chińczykom, mogli po trzech latach pojechać na miesiąc do domu. Jeżeli komuniści mieli jakieś zastrzeżenia – na krócej.

Dostałam w końcu zezwolenie na odwiedzenie krewnych. Miałam wrócić po piętnastu dniach. W tym czasie w Watrze pracował też Phuba, mąż mojej najstarszej siostry.

- Nie zapomnij, że mamy tu Rinczena Samdruka i Phubę. Jeżeli nie wrócisz, zostaną ukarani – ostrzegł mnie strażnik.

Dostałam przepustkę, którą miałam okazać natychmiast po przyjeździe do Lobaszy.

Gdy dotarłam na miejsce, lokalny urzędnik przeczytał dokument, który mówił ile lat spędziłam w więzieniu i opisywał moje „zachowanie”.

- Przez te piętnaście dni – powiedział – nie wolno ci z nikim rozmawiać o żadnych drażliwych sprawach. Jeżeli coś się tu stanie, jeśli ludzie zaczną gadać o polityce, zostaniesz pociągnięta do odpowiedzialności.

Kiedy wreszcie dojechałam do Kandze, nie poznałam moich rodzinnych stron. Klasztory leżały w gruzach. I nie było niemal nikogo, kogo znałam w 1958 roku. Tych, którzy byli wtedy dziećmi, po prostu nie poznawałam.

Z naszej tajnej grupy zostało ledwie pięć kobiet. Pewnej nocy przyszły się ze mną zobaczyć. Wylałyśmy morze łez, opowiadając sobie nasze historie.

Ciągle myślałam o synku, który musiał już być dorosły. Bałam się, że Chińczycy mogli go wywieźć do Chin. Wypytywałam wszystkich, ale jedyną odpowiedzią były nieodmiennie łyzy. Prawdę powiedział mi w końcu Nima – ten, który przyniósł mi jedzenie do Gothang Gjalpo.

- Proszę, przestań się zdręczać. Po twoim aresztowaniu wszyscy próbowali go pocieszyć, ale on nikogo nie słuchał. Nie mogliśmy go powstrzymać. Rzucił się do rzeki.

Kilka lat później, już po prawdziwym zwolnieniu, nadal próbowałam poznać szczegóły, ale nikt nie chciał mi tego powiedzieć. Wszyscy bali się, że przysporzy mi to tylko dodatkowych cierpień.

Do tej pory nie wiem, co się właściwie stało. Mój synek nie umiał się uporać z obrazem bitej, uprowadzanej matki. Ciągle wołał mnie i płakał. Nikt nie umiał go pocieszyć. Nie chciał jeść. Próbowali go zatrzymać, ale gryzł po rękach, i wreszcie uciekł. Ludzie nie wiedzieli, co się z nim stało, póki nie znaleźli go na brzegu rzeki. Wszystko to trwało kilka dni.

Byłam mocno związana z matką. Bardzo ją kochałam. Ona też odeszła. Po moim aresztowaniu Chińczycy skonfiskowali nasz dobytek. Większość braci i siostr wtrącono do więzień. Matka została sama z pustymi rękoma. Nie miała żywności, nie miała naczyń, nie miała narzędzi, nie miała nic. Sąsiedzi próbowali jej pomagać, ale wkrótce umarła z głodu.

Mój brat Uczo – uwięziony z naszymi przywódcami – też umarł z głodu. Do końca trzymali ich w tym samym budynku. Podzielił los moich towarzyszy z Gathong Gjalpo. Oczywiście, nasza rodzina nie była wyjątkiem. W tym okresie zmarły z głodu tysiące Tybetańczyków.

Najstarszy syn mojej drugiej matki, Czoklej, przeszedł thamzing w Kandze. Okładano go kolbami karabinów. Musieli mu uszkodzić wątrobę, bo wkrótce potem umarł.

Nasza siostra Bhumo, żona straconego na moich oczach Pemy Gjalcena, oszalała z rozpacz i umarła.

Taki los spotkał naszą spokojną, przecudną krainę. Moje matki, troje rodzeństwa i troje najbliższych krewnych spoczywają obok siebie. Chińczycy zabronili mi chodzić na cmentarz, ale byłam gotowa na każdą karę.

Pewnej nocy zakradłam się tam z bratem. Rozpaliliśmy małe ognisko i zaczęliśmy rozmawiać. Klęcząc przed grobami najbliższych, złożyłam ślubowanie:



- Wszyscy umieraliście w męczarniach. Ja cierpiałam przez całe lata w chińskich więzieniach. Kiedy do naszego kraju wróci Dharma, kiedy wróci do nas Jego Świątobliwość, odkopię wasze kości i odprawię dla was ostatnie rytuały.

Nie mogłam zrobić nic innego. Brat bał się, że nie udźwignę tego brzemienia. Nalegał, więc szybko opuściliśmy cmentarz.

Mieszkałam w domu Nimy, który ciągle prosił mnie, bym nie zdręczała się wspomnieniami. Bał się o moje zdrowie.

Córka, która miała cztery miesiące, gdy mnie zabierano, przeżyła. Wychowała ją, razem z własną córką, moja przyjaciółka Dolma. Nazwała ją Rinczen Khandro.

Brat zaprowadził mnie do niej i powiedział tylko: „twoja matka”. Popatrzyłyśmy sobie w oczy. A potem powoli podeszłyśmy do siebie. Kiedy spotkały się nasze dłonie, po twarzy Rinczen Khandro popłynęły łzy.

Opowiedziała mi, że kiedy była mała, w naszym regionie mieszkała kobieta imieniem Adhi. Pomyślała, że to musi być jej mama, i poszła do niej.

- Nie, strasznie mi przykro, ale nie jestem twoją mamą – usłyszała. – Twoja mamusia jest w więzieniu, ale wkrótce do ciebie wróci – i tak moja córka dowiedziała się gdzie jestem, a potem dostała miskę najlepszego jedzenia.

Kiedy byłyśmy same, brała mnie za rękę i mówiła: „Mam wreszcie prawdziwą mamę”. Staralam się dodać jej otuchy. Nie opowiadałam o tym, co przeszłam. Nie chciałam jej zaszczebiać nienawiści do Chińczyków, bo wiedziałam, że tylko przysporzę jej cierpienie. Powtarzałam, że nie ma się czym martwić, bo zaraz do niej wrócę.

Brat powiedział mi, że umawiają ślub Rinczen Khandro z chłopcem z sąsiedztwa, który był synem mojej przyjaciółki. Wyraziłam zgodę. Pobrali się po moim wyjeździe. Teściowa była dla niej bardzo dobra i traktowała ją jak własną córkę. Są naprawdę szczęśliwą rodziną.

Stare przyjaciółki powiedziały, że odwdzięczą mi się za to, że wzięłam na siebie całą winę, żeby je chronić. Obiecały, że jeżeli zechcą wrócić w rodzinne strony, będą się mną opiekować do końca życia. Przyprawiły nawet swoich synów i powiedziały, że jeśli coś się im stanie, mają się zawsze o mnie troszczyć. Zgodnie ze starą tradycją Khampów, każdy z tych młodych mężczyzn brał mnie za rękę i ślubował opiekować się mną, gdy zostanę wreszcie zwolniona.

Spotkałam się też z Ugjenem, starym służącym, który przyprowadził policjantów do mego namiotu. Wiedziałam, że nie miał złych intencji i po prostu wykonywał rozkazy Chińczyków. Dobrze go znałam. Kiedy zawiązałyśmy nasze tajne stowarzyszenie, często przekazywał nam wartościowe informacje o Chińczykach.

Był już bardzo stary. Siedział tylko, recytując modlitwy i mantry. Powiedział, że po moim aresztowaniu odchodził od zmysłów. Wciąż śnił mu się mój synek, kurczowo wczepiony w poły mojej czuby.

\*\*\*

Nadal nie mogliśmy praktykować naszej religii. Nie ostał się żaden klasztor. Chińczycy zlikwidowali całą Sanghę – wszystkich mnichów i mniszki. Elita Tybetu odeszła.

Ci, którzy przetrwali, mieli tylko jedną nadzieję: Jego Świątobliwość i naszą diasporę. Wszyscy modlili się o nadejście lepszych czasów i społeczność emigracyjną.

Po piętnastu dniach musiałam wracać do więzienia. Znałam przecież konsekwencje.

Z Lobaszy do Watry jechałam autobusem półtora dnia. Po drodze mijałam miejsca, które na zawsze wryły się w moją pamięć. Tu mnie aresztowano, tędy wlokła mnie policja, a tam po raz ostatni widziałam mego synka. Myślałam, że pęknie mi serce.

A wody rzeki Singczu toczyły do Chin tysiące, miliony pni naszych drzew.

\*\*\*

Kiedy wróciłam do Watry, szwagier zasypał mnie pytaniami o naszych bliskich. Był już stary, starałam się więc go oszczędzać. Sama nie umiałam się uporać z tym, co usłyszałam. Pograżałam się w depresji. Nie mogłam pracować.

Przyjaciele błagali, żebym się otrząsnęła. W końcu przyszedł Chińczyk i zapytał, kto mnie namówił do niestawienia się w pracy.

- Nikt mnie do niczego namawiał – odparłam. – Po prostu zobaczyłam na własne oczy, co stało się z naszym krajem. Wcześniej myślałam, że jeśli będę wypalać wasze cegły, nosić kamienie, ścinać drzewa, to pewnego dnia zobaczę się z matką, dziećmi, braćmi i siostrami. Teraz znam już prawdę. Wszystkich ich zabiliście albo zagłodziliście na śmierć. Dość tego. Nigdy więcej nie będę dla was pracować.

Chińczyk odwrócił się do więźniów i kazał im zawlec mnie do pracy. Nikt się nie ruszył.

- Nic mi nie zostało – dodałam. – Możecie mnie zabić. Nie dbam o to. Róbcie, co chcecie.

- Lepiej ją zabijcie – krzyknął mój szwagier. – Ona widziała to wszystko na własne oczy.

Naprawdę traciłam zmysły. Nie potrafiłam uporać się z tym, co usłyszałam i zobaczyłam. Dostawałam ataków histerycznego śmiechu. Potem całymi dniami płakałam. Zaczynałam śpiewać i nie mogłam usiedzieć w jednym miejscu. Musiałam być w ciągłym ruchu. Moi towarzysze płakali i mówili, że oszalałam.

W pobliskim obozie trzymali jednego z uczniów Działjanga Khjence Rinpocze. Lama był już bardzo stary. Pilnował, żeby więzienne krowy nie wchodziły w szkodę. Rinczen Samdruk i szwagier zaprowadzili mnie do niego. Siedząc tak samotnie na środku pola, przypominał stracha na wróble. Byłam w histerii: to śpiewałam, to śmiałam się, to znów płakałam.

- To takie smutne – powiedział lama. – Tyle wycierpiała, żeby tak skończyć.

Zapalił laskę kadzidła, które robił ze specjalnych ziół, i przykładał ją do różnych punktów na moim ciele: głowie, plecach, ramionach. Było to bardzo bolesne, ale gdy skończył, poczułam niezwykłą ulgę.

Po miesiącu zaczęłam odzyskiwać kontrolę nad własnym umysłem. Po przypalaniu miałam bąble, które nie chciały się goić, ale psychicznie czułam się znacznie lepiej. Przestałam płakać i zanosić się histerycznym śmiechem. Mogłam wreszcie usiąść i odpocząć.

Pewnego dnia odwołano pracę i wezwano nas na wiec.

- Adhi jest złą kobietą – powiedział Lo Kasu, naczelnik z Watry. – Przez tyle lat próbowaliśmy ją reedukować. Ale ona nie chce się zmienić. Teraz udaje, że zwariowała. Śmieje się, płacze, śpiewa, a nawet mówi, żebyśmy ją stracili. Od dziś żaden więzień nie może rozmawiać ani utrzymywać z nią żadnych kontaktów. Adhi jest złym elementem.

Moi przyjaciele nie zamierzali jednak słuchać tych poleceń. Byli dla mnie bardzo dobrzy. Kiedy dzielono nas na kilkunastoosobowe grupy robocze, mówili tylko, żebym się niczym nie przejmowała i dobrze odpoczęła. Miałam wrażenie, że stoją za mną murem.

Kiedy moi bliscy dowiedzieli się o wszystkim, zaczęli przysyłać mi jedzenie, mięso, masło i ser. Było tego tyle, że starczyłoby dla kilku osób.

W 1976 roku – już po załamaniu – przyjechała do mnie córka. Dowiedziała się, że jest ze mną kiepsko. Powoli dochodziłam do siebie i musiałam wrócić do pracy. Córka poszła do komendanta i powiedziała mu, że skoro źle się czuję, zastąpi mnie w pracy. Zgodzili się. Khandro pracowała za mnie przez dwadzieścia dni, dając mi czas na odzyskanie sił.

Kiedy powiedzieli jej, że musi wracać, strasznie płakała. Przytuliłam ją i powiedziałam:

- Nukashi, wstrętna, tłusta chińska strażniczka, ostrzegła mnie kiedyś, żebym nie zatrzymała umysłów moich dzieci „złym myśleniem”. Mówiła mi: „Powtarzaj dzieciom, że Chińczycy są dobrzy. Nie waż się gadać im o tym, co było w więzieniu. Nie zatrzymaj ich swoimi ideami”.

Khandro otarła łzy i wyszeptwała:

- Mamusiu, nie musisz mi opowiadać o chińskich zbrodniach. Wiem, co ci zrobili. I wiem, że nie wolno nam o tym zapomnieć. Opowiem o tym moim dzieciom, a one swoim. Przez te dwadzieścia dni

nasłuchiwałam się opowieści ludzi, którzy muszą tu pracować. Żaden Chińczyk nie będzie kontrolował moich myśli. Nigdy nie zapomnę, że moja matka należy do garstki Tybetańczyków, którym udało się przeżyć. Nigdy nie zapomnę o tysiącach pomordowanych, zagłodzonych i zamęczonych na śmierć. Niech robią, co chcą, mój umysł należy do mnie.

Powiedziała, że najgorsze było to, że nie miała nikogo, kogo mogłaby nazwać matką. Inne dzieci miały matki i ciągle o nich opowiadały, a ona była sama. Ilekroć słyszała słowo „matka”, serce podchodziło jej do gardła.

\*\*\*

W regionie Minjag Rangakha jest wysoka święta góra Sza Dzara. U jej podnóża znajduje się wielkie jezioro. Pewnego dnia w 1975 roku na środku tego jeziora pojawił się czarny namiot koczowników. Chińczycy oniemieli. Nikt nie umiał wytłumaczyć tego niezwykłego zjawiska. Stali tak z rozdziawionymi gębami i tylko patrzyli przez te swoje lornetki. A namiot nagle znikł i w jego miejsce pojawił się ogromny zielony lotos.

Tybetańczycy nie posiadali się ze szczęścia. Wszyscy modlili się na brzegu jeziora o powrót Dharmy do Tybetu, przynosili białe szarfy i inne ofiary. Wierzyliśmy, że to znak, iż Jego Świątobliwości wróci już wkrótce do wolnego kraju. Rok później umarł Mao.

Chińczycy byli tak przerażeni manifestacją uczuć Tybetańczyków, że postanowili zbombardować czarodziejski kwiat. Ludzie zbierali jego szczątki – przypominały trawę – i traktowali je jak relikwie.

\*\*\*

W 1979 roku Chińczycy ogłosili tak zwaną „liberalizację”. Do Tybetu zaczęli przyjeżdżać uchodźcy i cudzoziemcy. Wpuszczono nawet wysłanników Jego Świątobliwości, którzy mieli zbadać sytuację w Tybecie. Tuż przed przyjazdem pierwszej delegacji zwołano naszą brygadę i ogłoszono, że nie będzie już czarnych czapek, a wszyscy więźniowie zostaną zwolnieni.

Za kratami mieli zostać tylko „reakyjni przywódcy” i „podżegacze”, gdyż obawiano się ich wpływu na „masy”. Wypuścili wtedy połowę więźniów z Watry.

Mieszkańcom regionu powiedziano, że w dniu wizyty delegatów mają się ubrać w czyste tybetańskie stroje, nosić młynki modlitewne i „zachowywać tak, jakby wybierali się na piknik: tańczyć i śpiewać”.

Podobne instrukcje wydano więźniom. Mieliśmy zrzucić chińskie uniformy i stawić się na wiecu.

- Idźcie na wiec – powiedziała wieczorem Rinczenowi i szwagrowi. – Ja będę udawać, że jestem chora, i zostanę w obozie. Muszę, po prostu muszę spotkać się z delegatami i powiedzieć im, co mnie spotkało.

Obaj przekonywali mnie, że to nierealne. Mówili, że takich delegacji będzie więcej i że jeszcze zdążę opowiedzieć moją historię. Obawiali się, że spotka mnie surowa kara.

Ale ja się uparłam. Następnego dnia poszli więc na wiec i powiedzieli Chińczykom, że jestem chora i nie mogę jeść, a ci kazali dobrze mnie zamknąć.

Udało mi się jednak wyśliznąć z obozu. Pobiegnęłam do głównej drogi, na której wkrótce pojawiła się kolumna samochodów. Starłam się je zatrzymać – wydaje mi się, że dostrzegłam twarz Lobsanga Samtena, starszego brata Jego Świątobliwości – ale nawet nie zwolniły. Lobsang Samten zdążył do mnie pomachać i auta znikły za zakrętem.

Ludzie mówili mi potem, że byli na wiecu i widzieli brata Jego Świątobliwości.

- Chińczycy kazali nam nałożyć tybetańskie ubrania, nosić różańce i młynki, ale przecież sami wszystkie je zniszczyli. W całej okolicy nie ma nawet jednej czuby. Ale jesteśmy szczęśliwi, bo widzieliśmy brata Jego Świątobliwości.

Przed przyjazdem delegatów Chińczycy kazali Tybetańczykom szybko odbudować widoczne z szosy ściany klasztorów. Dobrze płacili. Na klasztory, których nie było widać, nie dali nawet grosza.

Na wieść o odbudowywaniu klasztorów do władz zaczęli zgłaszać się mieszkańcy innych wiosek po środki na odbudowę lokalnych świątyń. Oczywiście wrócili z kwitkiem.

Chińczycy nie zamierzali też przywracać klasztorom ich dawnej świetności. Kazali tylko uprzętać ruiny i odbudować jakieś małe kapliczki. Dla starych ludzi miało to jednak ogromne znaczenie. Ponieważ ze świątyń nie zostało dosłownie nic, pospiesznie lepiono gliniane posągi i ozdabiano ściany nowymi malowidłami lub zdjęciami.

Zabito wszystkich mnichów, lamów i tulku, kaplice stały więc puste. Z szosy mogły wyglądać na klasztory, ale w istocie były tylko kolorową fasadą.

Wszyscy, którzy je odwiedzali, zaczęli płakać, bo w niczym nie przypominały świątyń niepodległego Tybetu. To były tylko ściany – bez wspaniałych posągów, bez ołtarzy, bez malowideł, bez mnichów. Oglądając je, czuliśmy się równie pusto.

\*\*\*

Moja córka była już mężatką.

- Trzeba cię jakoś wyciągnąć z tej „brygady roboczej” – powiedziała. – Musisz do nas wrócić. Ani ty, ani wujek, ani Rinczen Samdruk nie będziecie już pracować. Zaopiekujemy się wami.

Wymyślił się, że poprosimy mego brata z Nepalu, by napisał list, że chce mnie odwiedzić. Tak też się stało. Brat pytał w liście, co robię w więzieniu, skoro władze twierdzą, że wszyscy zostali już zwolnieni. „Przyjeżdżam do ciebie do Lobaszy”, kończył. Napisał też bezpośrednio do władz w Kandze, które natychmiast poleciły tym z Darcedo puścić mnie do domu na spotkanie z bratem.

W owym czasie Chińczycy trąbili, że wypuścili wszystkich więźniów. Zależało im na powrocie tybetańskich uchodźców, by pokazać światu, że w Tybecie panuje normalna sytuacja. Komuniści znaleźliby się w kłopotliwej sytuacji, gdyby mój brat musiał odwiedzać mnie w więzieniu.

List bardzo mi pomógł. Dzięki niemu i wpływom kilku Tybetańczyków z lokalnej administracji zostałam w końcu zwolniona z Watry w 1985 roku.

Czekała mnie jeszcze rozmowa z Tsu Sogje – naczelnikiem wszystkich więzień w naszym regionie.

- Wracasz do domu – usłyszałam. – Jak rozumiem, nie przekonano cię do naszych idei. Przez dwadzieścia siedem lat nie poddałaś się reedukacji. Chcesz – możesz się nadal opierać. To tak, jakbyś rzuciła sobie w nogę kamieniem. Nam nic to nie szkodzi. Przyjeżdża twój brat. Nie wolno ci opowiadać mu, nie wolno ci opowiadać nikomu, o głodzie, egzekucjach itd. Gęba na kłódkę. Dowiemy się, jeśli zaczniesz gadać. Wszędzie mamy swoich ludzi. Spróbuj tylko, a już nigdy nie zobaczysz ani brata, ani córki, ani przyjaciół i krewnych.

Dostałam zaświadczenie o zwolnieniu, które miałam oddać władzom w Lobaszy. Razem ze mną zwolniono Rinczena Samdruka. Szwagier wyszedł wcześniej.

Kiedy dowiedziałam się, że mnie wypuszczają, zorganizowałam przyjęcie dla przyjaciół. W Watrze zostało jeszcze około czterdziestu więźniów. Mieliśmy wspólną salę, w której mogliśmy urządzać takie uroczystości. Modliliśmy się o szybkie spotkanie i przysięgaliśmy sobie pomoc.

- Wygląda na to, że nadeszły lepsze czasy – powiedziałam przyjaciółom. – Nie wiem, kiedy wróci Jego Świątobliwość, ale jego brat był w naszym regionie. Odbudowano kilka klasztorów. Nie zapominajmy jednak o tysiącach naszych braci, którzy nie mieli tyle szczęścia, co my. Ja nie zapomnę o nich nigdy. Jeżeli nadarzy się okazja, opowiadajmy, opowiadajmy o nich dzień i noc, każdemu, kto zechce nas wysłuchać.

Wszyscy złożyli tę przysięgę.

W pierwszej chwili nie posiadałam się ze szczęścia. Byłam wolna! Moja radość nie trwała jednak długo. Miałam wrażenie, że stoję przed potężną, kamienną ścianą. Straciłam matkę, straciłam

synka, straciłam braci i siostry. Nie poznawałam własnego kraju. Niemal nikogo nie znałam. Czułam w sobie pustkę. Powrót do domu napawał mnie jednocześnie szczęściem i przejmującym smutkiem.

\*\*\*

Po przyjeździe do Lobaszy udałam się natychmiast do biura komisarza dystryktu, który uważnie przeczytał mój list. Przypomni mi o zasadzie milczenia i powiedział, że nie chce słyszeć, iż mówiłam to czy tamto. Żadnych rozmów o więzieniu, z nikim.

- W normalnych okolicznościach wypuszczamy tylko tych, którzy zaakceptowali komunizm i stali się dobrymi obywatelami. Niestety, twój przypadek jest najwyraźniej inny – powiedział na zakończenie.

Przyjaciele powiedzieli mi, że tuż przed moim powrotem zwołano wiec.

- Wkrótce przyjedzie tu Adhi – ogłoszono. – Z pozorów wydaje się zwykłą kobietą, ale w istocie jest elementem, który próbuje podkopywać zaufanie do partii i podżegać przeciwko rządowi. Miejcie się na baczności! Pamiętajcie, że spoczywa na was obowiązek informowania o wszelkich wywrotowych działaniach, reakcyjnych sloganach itd.

Wszyscy prosili mnie, żebym bardzo uważała. Nawet córka mówiła, że byłoby lepiej, gdybym nie wychodziła z domu. Miałam po prostu „odpoczywać”.

Całe to chińskie gadanie zaciekało, ma się rozumieć, dzieci, które strasznie chciały zobaczyć, jak wygląda ta „zła kobieta”. Widok staruszki, która niczym nie różniła się od ich babć, najwyraźniej je rozczarowywał.

Wszystko to nie powstrzymało najbliższych przyjaciół, którzy odwiedzali mnie i przynosili rozmaite upominki. Niczego przed nimi nie ukrywałam. Z obcymi byłam ostrożna, ale gdy wydawało mi się, że ktoś jest godny zaufania, mówiłam całą prawdę.

Prawdę mówiąc, nocami przychodzili do mnie nawet ci Tybetańczycy, którzy pracowali dla chińskich władz. Mówili, że wiedzą, co przesłama, i uważają mnie za prawdziwą patriotkę. Wszyscy oni mieli w domach ołtarze ze zdjęciami Mao i innych przywódców. Tyle że pod nimi ukrywali zdjęcia Jego Świątobliwości i to dla Niego palili kadzidło i nalewali ofiarną wodę do mosiężnych miseczek.

Mówili, że są dumni, iż Chińczycy nie zdołali mnie złamać przez dwadzieścia siedem lat i zmienić na własną modłę.

- Pracujemy dla nich – powiadali – ale tylko dlatego, że trzeba jakoś zarobić na życie. Musimy utrzymywać rodziny, nie mamy wyboru.

Zdawali sobie sprawę, że każda wzmianka o niepodległości Tybetu musi zaprowadzić ich do więzienia. Podkreślali jednak, że są Tybetańczykami, a nie Chińczykami. Całą nadzieję pokładali w Jego Świątobliwości i wierzyli w nadejście lepszych czasów. Naprawdę mi pomagali. Bez nich nie wy dostałabym się z Tybetu. To oni załatwili mi paszport.

Poszłam z listem brata do okręgowego biura w Kandze i powiedziałam, że chcę pojechać po niego do Nepalu. Chińczycy natychmiast odparli, że nie ma takiej potrzeby i że mogę wysłać któregoś z siostrzeńców.

To tybetańscy urzędnicy przekonali w końcu Chińczyków, że wydając mi paszport, wyświadczą przysługę Komunistycznej Partii Chin, gdyż powrót mego brata będzie zwycięstwem ChRL i porażką „Dalaja”.

- Co zamierzacie powiedzieć bratu? – pytali mnie Chińczycy.

- Że powinien wrócić do rodzinnego domu, do najbliższych, których nie widział tyle lat. Sytuacja jest dobra. Nie ma powodu zostawiać gości w obcej ziemi. To właśnie mu powiem – moi tybetańscy przyjaciele naprawdę dobrze przygotowali mnie do tej rozmowy.

- W takim razie możecie jechać – orzekł chiński oficer i zaczął recytować długą listę gróźb i ostrzeżenia, która znałam już na pamięć.

Tym razem były też obietnice: dobrej renty, przekreślenia dawnych win, świętego spokoju. Ja tylko przytakiwałam.

Niemniej paszport z Kandze trzeba było jeszcze podstemplować w Darcedo. Nie było to łatwe, ale mogłam liczyć na pomoc wielu życzliwych mi osób. Udało się im przekonać Chińczyków, że na pewno nie zostawię córki i krewnych i – ku chwale partii – sprowadzę do domu brata.

Mając pieczętkę, musiałam pokonać ostatnią przeszkodę: brak pieniędzy. Wysłałam z więzienia z pustymi rękami. Dawni współwięźniowie i tybetańscy urzędnicy zadbali jednak i o to.

Prosili tylko o jedno: „O dzieci, jak każe tradycja, zadbamy sami i prześlemy im całą prawdę o losie, jaki zgotowali nam Chińczycy. Ale mamy tylko gołe pięści przeciwko chińskim karabinom i czołgom. Ty musisz powiedzieć prawdę wolnemu światu i, przede wszystkim, Jego Świątobliwości”. Miałam wrażenie, że mówią jednym głosem.

Sama też nie pragnęłam niczego innego.

Spotykaliśmy się w nocy. Nie ma Tybetańczyka, który nie ucierpiałby z rak Chińczyków. Ludzie przychodzili i opowiadali mi swoje historie, bym przekazała je światu. Każdej opowieści towarzyszyło morze łez. Trzymaliśmy się za ręce, dotykaliśmy czołami, każdy żegnał mnie pocałunkiem.

Nadszedł czas pożegnania. Córka tonęła w łzach, ale pocieszałam ją, że dziś nikt mnie nie zaaresztuje, a jutro ruszę na spotkanie Jego Świątobliwości i w końcu wrócę z bratem. Bałam się jej powiedzieć, że zostanę na wygnaniu. Wiedziałam, że mnie nie puści.

Wyruszyliśmy z Rinczenem Samdrukiem do Lhasy. Ktoś załatwił nam przejazdem chińskim samochodem, znacznie szybszym i wygodniejszym od autobusu. Na pokonanie 1.700 kilometrów potrzebowaliśmy około tygodnia. Po drodze mijaliśmy głównie ciężarówki, wyładowane drewnem, leczniczymi ziołami i tybetańską wełną.

W stolicy odwiedziłam wszystkie ocalałe świątynie. Musiałam pomodlić się za pomordowanych krewnych. Poszłam też do Potali, pałacu Jego Świątobliwości, i stanęłam przed pustym tronem, na którym leżała jedna, żałośnie smutna biała szarfa. Widok tronu, na którym skupiały się wszystkie nadzieje i modlitwy Tybetańczyków, wywarł na mnie przyjmujące wrażenie.

Spędziłam w Lhasie cztery miesiące, czekając na nepalską wizę. W końcu zrozumiałam, że jedynym sposobem na jej uzyskanie jest łapówka. Nie miałam jednak tylu pieniędzy. Udałam się więc do pewnego lamy i poprosiłam go o *mo*, wróżbę.

Powiedziałam mu, że mam paszport i nie mogę uzyskać wizej. Zapytałam, czy uda mi się dotrzeć do Nepalu. Lama popatrzył na mnie uważnie, a potem rzucił kości i odparł:

- Bez wątplenia bezpiecznie dotrzesz do celu.

Ruszyliśmy więc do granicznego Dramu.

- Nie macie nepalskich wiz – powiedział chiński strażnik. – Nie wpuszczą was.

- Jadę tylko po brata, który ma wrócić do Tybetu – odparłam. – Nie zostanę długo. Może jest jakiś sposób.

- Spróbujcie dać łapówkę nepalskim żołnierzom, może was puszczą – odpowiedział Chińczyk.

Weszliśmy na most, nazywany Mostem Przyjaźni. Za wymalowaną na środku czerwoną kreską był już Nepal. Modliłam się o pomoc do Jego Świątobliwości, Tary i wszystkich bóstw Tybetu. Kiedy podeszłam do kreski, ktoś chwycił mnie za ramię.

- Adhi? Przysłał mnie po ciebie twój brat – powiedział Tybetańczyk, którego widziałam pierwszy raz w życiu.

- Ale ja nie mam wizej, nie wiem, czy mnie wpuszczą.

- O nic się nie martw, starczy dać im parę groszy.

Nepalscy strażnicy faktycznie dali nam wizej bez żadnego problemu. O północy byłam już w Katmandu, w domu mego brata.

- Dzugomo, twoja siostra – powiedział tylko nasz przewodnik.

Mój siedemdziesięciodziewięcioletni wówczas brat zerwał się z łóżka i padliśmy sobie w ramiona. Połżyli się łączy.

Brat zarzucił mnie pytaniami o sytuację w Tybecie. Był już bardzo stary; starałam się nie mówić mu całej prawdy, bo bałam się, że jej nie znieśnie.

- Nie mówmy o tym teraz – powiedziałam. – Ucierpieliśmy nie tylko my dwoje, ale sześć milionów Tybetańczyków. Teraz jesteśmy jednak tam, gdzie Jego Świątobliwość. Powinieneś skupić się na praktyce Dharmy i modlić o lepszą przyszłość.

Nie umiałam go jednak uspokoić. Wypytywał o różnych ludzi. Co słycać u tego, co u tamtego, jak się czuje jego wuj, rodzina... Zaczęłam kłamać. Po prostu nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Tego rozstrzelano, tamten zginął na torturach, a ich bliscy umarli z głodu...

Brat nie miał nikogo. Cały czas poświęcał praktyce. Modlił się, okrażał stupę. Chodził w brudnych, zawszonych łachach. Rinczen Samdruk i ja doprowadziliśmy go do porządku i wkrótce czuł się już lepiej.

Pojechałam z Rinczenem na wykład Jego Świątobliwości do Benares w Indiach. Zorganizowano audiencję dla nowo przybyłych z Tybetu. Błogosławieństwo Jego Świątobliwości było dla nas największym szczęściem. Czuliśmy jednak, że musimy spotkać się z Jego Świątobliwością jeszcze raz, by opowiedzieć mu o wszystkim, co wydarzyło się w naszym regionie. Pojechalśmy więc do Dharamsali, rezydencji Jego Świątobliwości.

Znaliśmy tylko dwa słowa, zrozumiałe dla Hindusów: „Dharamsala” i „Dalajlama”. Nikt nam nie pomagał w podróży, ale owe słowa okazały się doskonałym przewodnikiem. Na stacjach autobusowych i kolejowych powtarzaliśmy je jak mantrę.

I wreszcie pewnej nocy dotarliśmy do Dharamsali. Było ciemno, nie wiedzieliśmy, gdzie iść, spaliśmy więc w autobusie. Kiedy otworzyliśmy oczy, zobaczyliśmy Tybetankę, która upewniła nas, że faktycznie jesteśmy u celu.

Nowymi uchodźcami opiekuje się agenda rządu tybetańskiego. Natychmiast nas zarejestrowano i nakarmiono. Dostaliśmy miejsce do spania w rządowym schronisku dla nowo przybyłych. Błyskawicznie wyznaczono nam datę prywatnego spotkania z Jego Świątobliwością. Był październik 1988 roku.

Kiedy wpuszczono nas do pokoju Jego Świątobliwości, natychmiast usiedliśmy pod ścianą, tuż obok drzwi. Prości ludzie, tacy jak my, nie mogą się przecież zbliżyć do kogoś wielkiego. Jego Świątobliwość musiał wołać nas trzy razy: „Tu, chodźcie tu”. Kiedy tylko Go zobaczyłam, do oczu napłynęły mi łzy. Pomyślałam sobie jednak: „Nie czas na płacz. Jestem zobowiązana do poinformowania Jego Świątobliwości o sytuacji w naszym regionie”. Zaczęłam mówić. Czasem emocje brały górę i zalewałam się łzami. Wtedy naszą opowieść kontynuował Rinczen Samdruk.

Spotkanie trwało półtorej godziny. Kiedy wymieniałam nazwy zrównanych z ziemią klasztorów i imiona pomordowanych lamów, Jego Świątobliwość bezgłośnie się modlił. Na koniec poprosiłam Go i, za Jego pośrednictwem, wszystkich wielkich lamów, o modlitwy za tych, którzy umarli z głodu, za tych, którzy ginęli bez tradycyjnych modłów i rytuałów, by ich duchy znalazły spokój. Jego Świątobliwość złożył dłonie.

Za: David Patt, *A Strange Liberation; Tibetan Lives in Chinese Hands*  
Snow Lion Publications, Ithaca, Nowy Jork 1992  
Copyright © 1992 David Patt